Rok XVII. Nr. 4.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Kwartał IV.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misyonarzy.
1911.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna **7 Kor.**, **(7 Mk.)**; dla Ameryki **8 Kor.**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1911 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — Ks. Ks. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

Sprawa beatyfikacyi Wiel. Ludwiki de Marillac.

„W sprawie beatyfikacyi waszej Wielebnej Matki, Ludwiki Marillac“, powiada O. Generał w okólniku do SS. Miłosierdzia z dnia 15 sierpnia b. r., „zrobiono krok stanowczy. Rozpatrzenie cnót sługi Bożej przez Kongregacyę Obrzędów zakończyło się z wielką dla Niej chwałą. Przyznano jednogłośnie, że wypełniała w stopniu heroicznym tak cnoty teologiczne.... jak i moralne.... Ojciec św. zatwierdził to orzeczenie swą najwyższą powagą i polecił wydać odnośny dekret. W swej wielkiej delikatności raczył Najwyższy pasterz wybrać dzień uroczysty naszego św. Założyciela na ogłoszenie tego dekretu“. — Równocześnie toczy się proces beatyfikacyjny Wiel. Maryi od Wcielenia, założycielki PP. Urszulanek w Kanadzie. Ogłoszenie dekretu w jej sprawie odbyło się w tymsamym dniu. — Uroczysty ten akt opisuje dziennik francuski L'Univers w korespondencyi, datowanej z Rzymu dnia 19 lipca, jak następuje.

„W Watykanie odbył się dzisiaj w sali konsystoryalnej w obecności Ojca św. akt uroczystego odczytania dekretów o heroiczności cnót Wiel. Ludwiki de Marillac, założycielki SS. Miłosierdzia, oraz Wiel. Maryi od Wcielenia, założycielki PP. Urszulanek z Quebec. W uroczystości tej wzięli udział kardynałowie Wincenty Vanutelli, Ferrata i Martinelli, arcyb. Bruchesi z Montréal, kilku prałatów, członkowie Zgromadzeń zakonnych z Francyi, zwłaszcza księża Misyonarze, liczne SS. Miłosierdzia z Matką Generalną na czele, oraz PP. Urszulanki z Rzymu.

„Dekrety obydwa odczytał sekretarz Kongregacyi Obrzędów, arcyb. Lafontaine. Następnie wygłosił ks. arcyb. Bruchesi wspaniałą mowę dziękczynną, uwydatniając opatrznościowe prawdziwie podobieństwo w życiu obydwu Wielebnych Sług Bożych: obydwie żyły we Francyi, w tymsamym wieku; obie zrazu zamężne, owdowiały wcześnie i poświęciły się życiu zakonnemu; jedna założyła z pomocą św. Wincentego SS. Miłosierdzia, druga w Kanadzie PP. Urszulanki z Quebec. Mowca zakończył prośbą o błogosławieństwo Ojca św. dla Francyi i dla Kanady. — Po nim ks. Meugniot, asystent gen. Zgr. XX. Misyonarzy, i Dyrekt. SS. Miłosierdzia dziękował Ojcu św. za to, że właśnie uroczystość św. Wincentego a Paulo wybrał na uczczenie jego Wielebnej współpracowniczki i założycielki Zgromadzenia SS. Miłosierdzia, liczącego już dzisiaj do 35.000 członków. — Ojciec św. kazał dla lekkiej chrypki mowę swą odczytać Mgr. Bisleti'emu. Wskazywał w niej na zamiary Opatrzności w tem, że w tymsamym dniu cześć spotyka te dwie dusze tak podobne do siebie swem pochodzeniem, życiem i pracami. Są to, powiada, dwa kwiatuszki, roznoszące tensam zapach, to dwie gwiazdy jaśniejące równym blaskiem. Wspomniał także o tem, jak wielkiego znaczenia są założone przez nie kongregacye, i winszował ich duchownym rodzinom tego szczęścia, że zyskują nowe Patronki w niebie.... Wyraził wielką swą ufność, że modły i przykłady Wielebnych Sług Bożych przyczynią się wśród ludzi do zrozumienia tej prawdy, że prawdziwa cywilizacya krzewi się nie przez szkoły bezwyznaniowe i przez feminizm, nie przez głoszenie praw człowieka, z pominięciem jego obowiązków, ale przez oparcie wszelkiego działania na Bogu i na zasadach, głoszonych przez Jezusa Chrystusa. Spodziewa się nadto Ojciec św., że cześć tych Sług Bożych przyczyni się do zrozumienia ducha, jaki je ożywiał i że modlitwy ich uzyskają obfite zdroje łask szczególniejszych, tak potrzebnych biednemu, schorzałemu społeczeństwu, a zwłaszcza w ich ojczyźnie, we Francyi“.

Wspomniany dekret, zaczynający się od słów Mulierem fortem, brzmi w polskim przekładzie, jak następuje:

Dekret w sprawie beatyfikacyi i kanonizacyi Wielebnej Sługi Bożej, Ludwiki de Marillac, wdowy Le Gras, współzałożycielki Zgromadzenia Córek Miłosierdzia.

Znaleźliśmy niewiastę mężną, zaszczyt i ozdobę katolickiej Francyi, Ludwikę de Marillac. Urodziła się ona w Paryżu, w roku zbawienia 1591, z rodziny zajmującej wysoki szczebel społeczny. Kształciła umysł nabywaniem nauk i wiedzy filozoficznej; więcej jednak i pilniej troskała się o nabywanie cnót chrześcijańskich, tak, że wzgardziwszy bogactwami i wysokiem swem pochodzeniem stała się godną podziwu w aktach cnót ubóstwa, pokory i miłości.

Po śmierci ojca, za radą spowiednika, któremu bezwzględnie była posłuszną, wyszła za mąż za Antoniego Le Gras w r. 1613. Z małżeństwa tego miała syna Michała-Antoniego, którego najtroskliwiej wdrażała w zasady życia chrześcijańskiego.

W dwa lata później, po śmierci męża, ślubowała ochotnie pozostać we wdowieństwie, a ułożywszy sprawy rodzinne poświęciła się całkowicie posłudze ubogich. Kiedy zaś przeszła pod duchowne kierownictwo św. Wincentego a Paulo, tak się zapaliła do naśladowania jego cnót, a zwłaszcza miłości dla ubogich, że była wielką dla niego pomocą, a poświęceniem się na trudy i prace prawie Mu dorównywała. Obejmując z największą łaskawością wszystkich potrzebujących, rozdała swoje dostatki na rzecz ubogich i nakłoniła niektóre znajome panie, ażeby, określiwszy sobie pewien stały tryb życia, służyły chorym, ubogim i dzieciom opuszczonym, nietylko wsparciem pieniężnem, ale i osobistą pracą.

Kiedy jednak przedsięwzięcie to, wbrew jej oczekiwaniu, nie odpowiedziało celowi przez nią zamierzonemu, dzielna ta niewiasta, idąc za wzorem i radą św. Wincentego, powołała do życia Zgromadzenie Córek Miłosierdzia,

które nas uczy, co zdziałać może łaska Boża. Mowa tu bowiem o tych dziewicach, liczących dziś zastęp około 35 tysięczny, które niepomne na swoją słabość i płeć, a wykształcone w duchu swej Matki, nie tylko poświęcają się wychowaniu dzieci i dorastającej młodzieży, w zakładach sierocych i szkołach, lecz służąc chorym po szpitalach obmywają im cieknące rany, własną ręką podają pokarm, ścielą łóżka, a co najważniejsza, krzepią ducha chorych słowem i przykładem swego życia. To samo spełniają w murach więziennych i na polu bitwy wśród gradu kul walczących zastępów. We wszystkich tych przedsięwzięciach była Wielebna Ludwika dla wszystkich przykładem, jakkolwiek słabego będąc zdrowia, niemal ustawicznie chorowała. Ciężką nakoniec chorobą nawiedzona w miesiącu lutym w r. 1660, przeczuwając blizką śmierć, posłała z prośbą do św. Wincentego, najukochańszego swego Ojca, aby ją nawiedził. Lecz czcigodny mąż, wiekiem i chorobą przygnieciony, nie mogąc ani kroku postąpić, wypowiedział tylko słowa, które są doskonałym wyrazem cnoty, tak mistrza jakoteż uczennicy: „Powiedzcie Jej: Idź odważnie naprzód, wkrótce pójdę do nieba za Tobą!".

To też Sługa Boża bez wszelkiej ludzkiej pociechy, zakończyła świątobliwe życie 15 marca. W pogrzebie jej wzięli udział liczni dostojnicy i tłumy ludu.

Kiedy sława jej cnót zaczęła róść niemal z dniem każdym, wniesiono do Kongregacyi św. Obrzędów sprawę jej Beatyfikacyi, wskutek niepomyślnych warunków zbyt długo odwleczoną

Po zebraniu więc wszystkich dowodów, wedle wymagań prawa, zarządzono potrójne badanie nad heroicznemi cnotami Wielebnej Sługi Bożej Ludwiki de Marillac, wdowy Le Gras. Najpierw odbyło się przygotowawcze posiedzenie (antepraeparatoria), dnia 28 marca 1910, w mieszkaniu referenta tej sprawy, J. E. Kardynała Dominika Ferrata; następnie posiedzenie wstępne (praeparatoria) w Watykanie, dnia 7 marca t. r.; a wreszcie ogólne posiedzenie 27 czerwca, wobec Jego Świątobliwości Papieża Piusa X. Na zebraniu

tem J. E. Kardynał, referent sprawy beatyfkacyjnej, postawił pytanie: „Czy dostatecznie pewną jest rzeczą, że Wielebna Sługa Boża, Ludwika de Marillac, wdowa Le Gras, posiadała cnoty wiary, nadziei i miłości Boga i bliźnich, jakoteż cnoty kardynalne roztropności, sprawiedliwości i męstwa, i im pokrewne, w stopniu heroicznym, i odpowiadające celowi, o który chodzi, t. j. beatyfikacyi. Kardynałowie i konsultorowie oddali swe głosy. Ojciec św. zaś uważał za wskazane, żeby się jeszcze wstrzymać, i zachęcił obecnych, aby modlitwą uprosili światło z nieba do wypowiedzenia dobrze swego sądu.

W dniu dzisiejszym zaś, poświęconym czci św. Wincentego a Paulo, a uroczyście obchodzonym przez Siostry Miłosierdzia, Jego Świątobliwość Papież, po odprawieniu Mszy św., zaprosił do Watykanu J. E. Kardynała Sebastyana Martinelli, prefekta Kongregacyi św. Obrzędów, J. E. Kardynała Dominika Ferrata, referenta sprawy beatyfikacyjnej, również Wbnego O. Aleksandra Verde, promotora wiary św., jakoteż i mnie podpisanego sekretarza, i wobec wszystkich ogłosił uroczyście: „Pewnem jest, że Wielebna Sługa Boża, Ludwika de Marillac, wdowa Le Gras, posiadała w stopniu heroicznym cnoty teologiczne wiary, nadziei i miłości Boga i bliźnich, oraz cnoty kardynalne, roztropności, sprawiedliwości, wstrzemięźliwości i męstwa, oraz cnoty im pokrewne, tak, że można przejść do dyskusyi nad czterema cudami".

Dekret ten polecił Jego Świątobliwość ogłosić i umieścić w aktach Kongregacyi św. Obrzędów, dnia 9 lipca 1911 r.

Fr. Sebastyan, kardynał Martinelli,
Prefekt Kongregacyi Obrzędów.

† Piotr Lafontaine,
Biskup Charyst., Sekretarz.

Z podróży wizytacyjnej ks. Wizytatora w Brazylii.

(Ciąg dalszy).

W towarzystwie ks. Chylaszka siadłem dnia 15 grudnia na stacyi Bariguy, odległej o 3 km. od domu Konfratrów w Thomaz-Coelho, na pociąg, który nas poniósł w głąb Parany na wschód ku drugim trzem domom naszym w tamtych stronach położonym, a mianowicie Rio Claro, Lucena i Prudentopolis. Trzy te kolonie należą do kompleksu kolonii, założonych w roku 1891—5. Po doświadczeniach zrobionych z pierwszemi koloniami, gdzie się przekonano, że kompleksy gruntów pierwotnie wyznaczane są za małe, poczęto już tu wydzielać kompleksy, jakie rozdają dotychczas, tj. po 250.000 m^2 (50 morg.). Ludność w tych koloniach jest także mieszana polsko-ruska, a wśród naszych przeważają wychodźcy z Królestwa. Kultura gruntów nie jest tu tak rozwinięta, jak w koloniach poprzednio opisywanych, dla tego, że to i młodsze kolonie i komunikacya tam była trudniesza. Obecnie już koleje zbliżają się do tych kolonii i stosunki są coraz łatwiejsze.

Rio Claro, dom najmłodszy z naszych tych 3 domów, miałem zwiedzić najpierw. Aby się tamże dostać, trzeba było odbyć najpierw drogę koleją do Ponta Grossy, wynoszącą 190 km. Przestrzeń tę przebyliśmy wśród tamtejszych upałów w $7\frac{1}{2}$ godzin. O godz. 4 stanęliśmy w hotelu poczciwego murzyna w Ponta-Grossie, aby przeczekać do dnia następnego, bo dziś nie szedł już pociąg dalej w naszym kierunku. Następnego dnia odprawiwszy zaraz po 5 rano msze św. w kościele brazylijskim Ojców „Verbi Divini“, wyjechaliśmy o g. $6\frac{1}{2}$ koleją w kierunku południowym do stacyi Maréchal-Mallet, gdzieśmy stanęli o godz. $2\frac{1}{2}$ po poł., zro-

biwszy około 200 km. Zeszedłszy z wagonu stanęliśmy już w granicach parafii naszych konfratrów z Rio Claro. Marechal-Mallet to kolonijka zamieszkana przez brazylian, nieco naszych, rusinów i i. Przeważnie są to urzędnicy kolejowi, kolonizacyjni i t. zw. wendziarze. Na stacyi oczekiwał nas ks. Kandora, superyor domu, i zabrawszy nas na wóz, powiózł ku domowi odległemu stąd o 4 godziny drogi. Wkrótce wjechaliśmy w obręb właściwej kolonii Rio Claro na t. zw. linię trzecią. Kolonia ta, jak w ogóle wszystkie te młodsze kolonie, nie jest rozłożona tak, jak kolonie poprzednio przezemnie opisywane, nie składa się z kompleksu mniejszych kolonii, ale stanowi jednolitą kolonię, najobszerniejszą ze wszystkich polskich kolonii, rozciągającą się na mniej więcej 6 mil w promieniu, podzieloną na t. zw. linie, t. j. jakoby ulice wytyczone równolegle, przecięte poprzecznie t. zw. „ulicą północną", nad któremi wzdłuż rozciągają się t. zw. szakry t. j. działy gruntów każdego z kolonistów. Ta budowa kolonii przypomina rozkład miast północno amerykańskich. Nie będę opisywał krajobrazu tej kolonii, bo piękny opis jego podały już Roczniki w r. 1909, Nr. 1. Tam także zamieszczony był widok i opis kościoła i plebanii. W naszej podróży kołowej zatrzymaliśmy się na chwilę po półgodzinnej jeździe przy kaplicy św. Piotra, gdzie właśnie stawiali nasi Polacy budynek, który miał pomieścić mieszkanie dla księdza i szkołę. Do tej kaplicy dojeżdżają Konfratrzy, aby ułatwić tej części kolonii uczestniczenie w nabożeństwie. Zwiedziwszy tę kaplicę i pokrzepiwszy się nieco w domu kolonisty kowala, który ma powierzoną pieczę nad kaplicą, puściliśmy się w dalszą drogę. Przejeżdżamy część kolonii zamieszkałej w przeważnej części przez Rusinów. Mają oni tu swoją cerkiewkę, przy której pracował Bazylianin O. Simkiw, zmarły w ostatnich czasach mego pobytu w Brazylii. W innej stronie tej części kolonii osiadł przybyły z Galicyi ks. Petrycki i niezależnie od biskupa opanował cierkiew i bałamucąc lud odprawia po swojemu nabożeństwa. O godz. 7 wiecz. stanęliśmy szczęśliwie w naszym domu w Rio Claro, powitani

przez oczekującego nas ks. Dejewskiego. Domek plebański to najlichsze mieszkanie w całej prowincyi, oddzielony od kościoła trzema innymi domami prywatnymi, z których najbliżej kościoła dom dawnego proboszcza, ks. Przytarskiego. Kościół zbudowany na wzniesieniu swoją wysoką, drewnianą wieżą, tak obrazowo opisaną już w Rocznikach, dominuje nad całą okolicą. Tuż za ogrodem Konfratrów zaczynają się lasy dalekie, wśród których pojawiał się właśnie wtedy tamtejszy tygrys, jaguar. Rzeka Rio Claro, poboczna wielkiego Iguassu, przebija się przez gęstwy lasowe tuż obok plebanii.

Czytaliśmy już w Rocznikach, w jak trudnych warunkach objęli nasi konfratrzy w lutym r. 1908 duszpasterstwo tej kolonii. Poprzedni pasterz ich, w którym się odezwały odbłyski ducha, który w czasie rewolucyi Parańskiej w r. 1893 uczynił go przywódcą partyzantki polskiej, był w rozterce z władzą kościelną i z częścią parafii; jedna część Polaków kościół zamykała, druga część drzwi do niego siłą wyważała, a żywioły przewrotne pracowały przy tem, aby swoją upiec pieczeń i lud od Kościoła odstręczyć. Dziś dzięki Bogu wrócił ład i porządek, a lud cały z małymi bardzo wyjątkami garnie się do kościoła. Miałem sposobność przekonać się o tem w następną niedzielę dn. 18 grudnia, kiedy miałem sposobność z ambony bliżej się temu ludowi przypatrzyć, jak tłumnie zapełniał kościół i chciwie słuchał słowa Bożego.

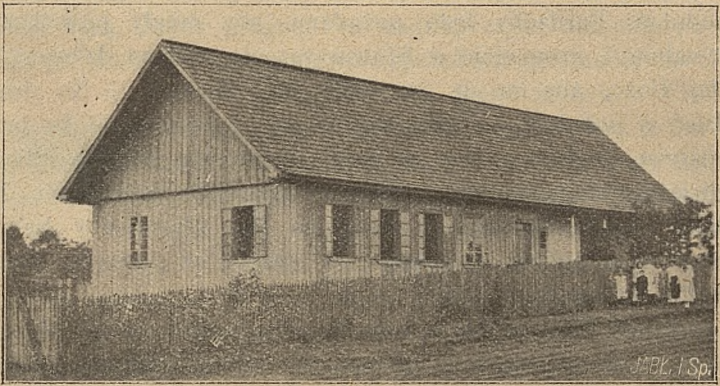
Szkół polskich na tej kolonii jeszcze mało jest niestety. Dwie na liniach dalszych nie zawsze stale funkcyonują, a w miejscu samem mimo największych wysiłków nie udało się konfratrom szkoły dobrze zorganizować. Kupili z własnych funduszów dom, aby pomieścić w nich nauczyciela i szkołę, ale niestety nie mogli się dorobić nauczyciela. Uczyli więc po części sami, ale oczywista nie mogło to iść dobrze, gdyż obowiązki kapłańskie odwoływały ich często od szkoły. Obecnie budują szkołę i mieszkanie dla Sióstr, których się spodziewają z początkiem przyszłego roku. Równocześnie zajęci są budową nowej plebanii tuż przy kościele.

W czasie mego pobytu tamże ułożyliśmy misyę dla tej parafii, która się odbyła w poście, i do reszty, jak słyszałem podbiła tę kolonię dla Boga. Zakres ich pracy rozszerza się jeszcze wskutek tego, że w „pobliżu“, t. j. w oddaleniu 4 mil na wschód powstaje nowa kolonia Vera Guarani, także polsko-ruska, która należy pod ich pieczę. Kolonia ta ma wszelkie warunki pomyślnego rozwoju, bo w pobliżu jest kolej (st. Dorizon), nie daleko także spławna rzeka Iguassu, grunta są urodzajne i warunki kolonizacyi dobre. Dnia 20 grudnia udaliśmy się tam konno, bo obecnie niema tam innego przystępu, gdyż drogę dopiero robią. Z radością witali nas koloniści, oczywiście że musiały być na powitanie ognie sztuczne, przemowy etc. Mowę powitalną miał mój dawny parafianin z Bukowiny, Kuruc. Zawczasu wzięła się ta nowa kolonia do budowy kościółka i już był na ukończeniu przybytek Boży wcale gustowny. Poświęciłem krzyż, który ozdobił wieżyczkę, i zachęciłem ich, by zgodnie a ochoczo kończyli to piękne dzieło. Miałem jeszcze tu przyjechać, aby wykończoną kaplicę poświęcić, ale i na to czasu już nie stało. Rządowym dyrektorem tej kolonii był z początku Polak, p. Saporski, a obecnie jest Brazylianin, p. Franco, człowiek zacny i kolonistom życzliwy. Tłumaczem przy nim jest znany p. Kłobukowski. Kolonia ta będzie jedną z najpiękniejszych; ładnie pomyślany jej rozkład i drogi robiono dobre. Wieczorem powróciliśmy szczęśliwie do domu, aby nazajutrz wybrać się rychło rano znów w daleką konną podróż do S. Matheus, w celu odwiedzenia naszych Sióstr tamże. S. Matheus odległe jest od Rio Claro 8 mil. Można się tam dostać albo statkiem rzeką Iguassu, albo konno; drogi kołowej nie ma. Komunikacya rzeczna stanęła wówczas wskutek posuchy, wypadło nam więc pojechać konno. W nocy spadł w Rio Claro deszcz tak dawno upragniony, namyślaliśmy się więc rano, czy można się puścić w drogę. Gdy bowiem trzeba było przebywać urwiska i przepaści, bać się należało niebezpieczeństwa wskutek ślizkich po deszczu ścieżek. Ponieważ jednak słońce, które silnie grzać poczęło, obiecywało nam prędko osuszyć drogę, więc około godziny 7 rano puściliśmy się w podróż.

Wkrótce przekonaliśmy się, że to tylko centrum kolonii było tak szczęśliwe, że je deszcz ochłodził, a nieco dalej ziemia deszczu spragniona za każdem uderzeniem kopyta końskiego zasypywała nam kurzem oczy i wyciskała łzy, jakby nad swą niedolą płakać nam kazała. To też popuściliśmy cugli koniom, które dotychczas ślizgając się ustawicznie niosły nas powoli i ostrożnie. Dopóki równiejszy teren na to pozwalał, biegły więc teraz koniki szybko, jakby przeczuwając, że daleka przed nami droga, więc spieszyć się trzeba, dopóki można. Powstrzymała nas w szybkim biegu góra „Scapo di cavallo“ (Spadek konia), którą nasze rumaki „wzięły“, spinając się ślicznie z kamienia na kamień i równie ostrożnie a z troską o jeźdźców zniosły nas na dół. Równie szczęśliwie przebyliśmy i sławną „Putingę“, bagno-studnię, co zwykle postrachem jest jeźdźca, bo konia w niej utopić można, albo i samemu z nim zginąć. My przebyliśmy ją suchą nogą, a raczej suchem kopytem końskiem, a stanąwszy po drugiej stronie tej studni, zwróciliśmy się ku niej i przypominając sobie Żydów po przejściu Morza czerwonego powtarzaliśmy za nimi: *Quid est tibi mare, quod fugisti?* Groźna zaś „Studnia“ szparami popękanego od słońca dna swojego zdawała się nam odpowiadać: „straszna posucha“. Popędziliśmy ochoczo dalej, aż na ładnej polance puściliśmy konie, by sobie wypoczęły, a my również siodła podłożywszy sobie, wypoczywaliśmy w cieniu i krzepiliśmy się tem, co ks. Kandora wydobył z worka. Przypominały mi się sceny z powstania, gdy „nasi“ kryli się przed Moskalami po lasach.

Po godzinnym wypoczynku puściliśmy się w dalszą podróż, która obecnie równiejsza, ale za to słońce paliło już dotkliwiej. Po przepłynięciu rzeki Putiningi, wśród wrzaskliwej muzyki cykat, śliczne widoki ratowały nas od zniechęcenia, jakieby nas ogarnąć było winno wśród tego straszliwego upału. O godzinie 2 wreszcie, pokryci grubą warstwą kurzu, stanęliśmy szczęśliwie na plebanii w St. Matheus. Św. Mateusz to miasteczko portowe nad rzeką Iguassu, położone ładnie na wzgórzu, gdzie żywioł niemiecki silnie

się zagospodarował, ale i Polacy są dosyć liczni, kiedy stanowić mogą osobną parafię. Jest ich tu, jeżli się nie mylę, około 300 rodzin. Jako kolonia powstała w tychże latach co i Rio Claro. W czasie powstania parańskiego przed 18 laty, a więc w początkach kolonii, partyzantka polska tutaj nie mało sprawiała kłopotu „wojskom“ rządowym, zorganizowawszy się w osobny oddział pod wodzą pułkownika Ant. Bodziaka. Liczne dosyć aresztowania, mściwe rabunki i t. p.



Szkoła i dom SS. Miłosierdzia w S. Matheus.

były owocem tego powstania. Ówczesny probosz ks. Wład. Smołucha, typ wojującego powstańca, natura otwarta, a serce złote, powędrował jako jeniec wraz z innymi do Kurytyby, gdzie przez kilka tygodni oczekiwali w więzieniu z drżeniem chwili, w której ich poprowadzą siepacze nad brzeg „dyabelskiej skały“ i zepchną w przepaść, w której zginął już nie jeden, co śmiał jak oni być nieprzyjacielem obecnych zwycięzców. Dzięki Bogu ocaleli, a ks. Smołucha po latach znowu wrócił do Mateusza, podejmował nas teraz gościnnie i z hu-

morem opowiadał historye ze swej burzliwej, interesującej przeszłości. Kościółek zbudował przed laty ładny; obecnie ciągle go jeszcze wykończa. Przed trzema laty udało mu się po usilnych staraniach pozyskać dla szkoły w Mateuszu nasze Siostry. Budynek szkolny i mieszkanie Sióstr dość obszerne w pobliżu kościoła i plebanii nie przedstawiają się na zewnątrz bardzo wspaniale, ale są obszerne i wygodne. Jaki zaś rezultat pracy Sióstr od razu w pierwszym roku się okazał, opisywały już Roczniki w r. 1910 str. 95. Obecnie tak się powiększa zakres ich pracy, że z utęsknieniem oczekują Siostry pomocy z kraju, bo obecnie we trzy nie mogą tej pracy podołać. Bardzoby było pożądane, aby mogły powiększyć szwalnię i gromadzić w Stowarzyszeniu starsze dziewczęta. Daj Boże, aby im się to udało jak najprędzej! Na drugi dzień w południe, pożegnawszy Siostry i gościnnego ks. proboszcza, puściliśmy się w drogę powrotną do Rio Claro, gdzieśmy stanęli prawie całkiem szczęśliwie wieczorem. Na drugi dzień skończyłem wizytę w Rio Claro, aby ruszyć w dalszą podróż i stanąć na święta w naszym domu w Prudentopolis.

Dnia 24 grudnia, a więc w samą wigilię, o godzinie 6 rano wyruszyliśmy w tę podróż. Po czterogodzinnej jeździe wozem stanęliśmy na stacyi kolejowej w Marechal Mallet, skąd koleją po linii, którąśmy tu dotąd przybyli, wracaliśmy aż do stacyi Fernando Pinhiero, gdzieśmy stanęli o godz. 2. Na stacyi oczekiwał nas już ks. Mięsopust z ognistymi konikami i lekkim wózkiem, mając mocne postanowienie dowieźć nas na wieczór wigilijny do Prudentopolis, dokąd mieliśmy jeszcze 9 mil drogi. Co 3 mile czekały świeże konie do przeprzęgu, aby w ten sposób można tej sztuki dokazać. Mimo to stanęliśmy w Prudentopolis dopiero o 11½ w nocy. Lud, co z daleka bardzo przybył, aby być na pasterce przygotowywał się właśnie do niej Jasełkami, które odgrywano bardzo umiejętnie i ze zrozumieniem w szkole. Zdołaliśmy jeszcze posłuchać ich końca, a potem w kościele polskim i brazylijskim równocześnie odprawiała się uroczysta pasterka, pozba-

wiona jednak uroku zimy. Przecie mimo, że pot obficie lał się każdemu z czoła wśród strasznego upału, Polacy z tym samym zapałem, jak do tego przywykli w Polsce i z wielkiem współczuciem dla P. Jezusa śpiewali: „Cierpi zimno w czas tak srogi“. Lud tutaj bardzo przywiązany do kościoła i do swoich księży jak i do Sióstr. Co mnie teraz miło uderzyło, to, że i Niemcy stracili dawną nieufność do księży i serdecznie się do nich przywiązali. Prawda, że zrobiono tu dla nich bardzo wiele w tych ostatnich latach. W sąsiedztwie polskiej szkoły wybudowali nasi po wielu zabiegach i trudach szkółkę dla niemieckich dzieci, które Siostry z wielkim także poświęceniem uczą. Jakby pragnąc to nadzwyczajne dla nich poświęcenie nadzwyczajnymi ujawnić sposobami, gromadki dzieci zwłaszcza niemieckich przez cały czas mego pobytu w Prudentopolis odwiedzały mnie bezustannie, przynosząc to bukiety kwiatów, to placka lub inne dary, i recytując przy tem piękne wierszyki, których umiały dużo. Wiele doznałem pociechy z tych objawów wdzięczności tych niewinnych serc dziecięcych. Cała ta kolonia pod względem narodowości jest ogromnie mięszana. Wśród około 5.000 Brazylian jest tu przeszło 10.000 Rusinów, około 250 Niemców, 100 Włochów i przeszło 3.000 Polaków Pieczę duchowną nad Rusinami mają OO. Bazylianie, stosując tu względem nas ten sam system, jaki uprawiają w Galicyi Ukraińcy. Nad wszystkimi innymi katolikami piecza duchowna należy do naszych konfratrów. Jak wiadomo, przedtem był dla tych wszystkich katolików nierusinów (Rusini mają dużą cerkiew) jeden mały drewniany kościółek, podobny do stajenki betleemskiej, w którym Polacy skarżyli się na upośledzenie, jakiego często doznawali, i dlatego wybudowali przed 5 laty dla siebie osobny piękny kościół, który poświęciłem w czasie mojej pierwszej tu bytności. To było dla Brazylian i Niemców bodźcem, aby nie zostać w tyle za Polakami i zaczęli także zaraz dla siebie budować nowy murowany kościół. Po 5 latach wykończyli go właśnie i miałem znów pociechę poświęcić i ten kościół na chwałę Bogu. Odbyła się ta uroczystość

w dzień św. Szczepana z niemałą okazałością. I Polacy i Niemcy i Brazylianie wzięli liczny udział w tej uroczystości. Ks. Mięsopust w czasie sumy, którą po poświęceniu odprawiłem, wygłosił kazanie aż w trzech językach, a mianowicie w brazylijskim, niemieckim i polskim. Praca konfratrów wskutek tego, że dwa są kościoły w miejscu, w których co niedziele i święta całe nabożeństwa z osobna się odprawia, i że nadto w dwóch bardzo odległych stąd koloniach od



Kościół brazylijski w Prudentopolis.

czasu do czasu, a przynajmniej co miesiąc, odprawiają nabożeństwa, jest bardzo uciążliwa. Kościół polski wewnątrz zyskał już dosyć dużo. W pięknym ołtarzu głównym śliczna figura Matki Najśw. od Cud. Medalika pociąga ku sobie wszystkich swym wdziękiem; stanął i piękny ołtarz boczny, w którym św. Antoniego piękna figura właśnie stanęła. Poświęcenia tego ołtarza dokonałem w pierwszy dzień świąteczny. Szkoła polska i niemiecka ogromne pokazuje postępy. W czasie mojej bytności były wakacye szkolne, ale mimo to miałem

sposobność podziwiać dziatki, które z ochotą zbiegły się w jeden dzień do szkoły, aby się pokazać z tem, co umieją, odgrywały kilka razy polskie i niemieckie jasełka, a zresztą, jakby nie mogąc żyć bez szkoły, zbierały się w niej prawie ustawicznie w licznych gromadkach. Zaczęto tu internat, t. j. zakład dla dzieci, które mieszkają daleko od szkoły i nie mogłyby do niej codziennie przychodzić; mają więc za niewielką opłatą mieszkanie i utrzymanie w szkole pod opieką Sióstr. Wyrabia to w dzieciach przywiązanie większe do Sióstr jak i do księży i do ich powołania. Może się to w wielkiej mierze przyczynić do budzenia powołań w tych młodych serduszkach. Owoce takie już z pociechą tam widziałem. Przez dzieci przywiązują się i rodzice ich więcej do kościoła i do jego sług. Działalność Sióstr jest tam jak najlepiej ocenianą i uznaną. Brazylianie mimo, że mają tam dla swych dzieci szkoły i rządowe i prywatne, pragną tego, aby Siostry i dla ich dzieci szkołę otwarły.

Kiedy przed czterema laty pisałem w Rocznikach o Prudentopolis, mówiłem, iż kolonia ta ma wszelkie warunki rozwoju coraz świetniejszego. Przekonałem się naocznie, że tak jest. Miasteczko samo rozwija się znacznie, powstało kilka większych budynków — a podniesie się jeszcze więcej, gdy wybudują do niego kolej, łączącą je z węzłem kolejowym w Ponta Grossa, którą już wytyczają.

W okolicy Prudentopolis powstały w ostatnich latach dwie nowe wielkie kolonie polsko-ruskie, o których już nasze Roczniki pisały, t. j. Itapará i Ivahy (Miguel Calmon).

Itapará, odległe od centrum Prudentopolis o 7 mil, zwiedziliśmy dnia 29 grudnia. Uprzejmy dyrektor tej kolonii p. Lech już o godzinie 4. rano zajechał wózkiem zaprzągniętym w czwórkę przed plebanią, aby nas na kolonią zawieźć, gdy słońce nie tak dopiekać będzie. Liczne góry i wertepy, jakie w tej drodze przebyć trzeba, przejechaliśmy w 5 godzinach, dzięki tylko nadzwyczajnej wytrwałości tamtejszych koni. Gdyśmy przybyli na miejsce, oczom naszym przedstawiła się bardzo pięknie zapoczątkowana kolonia.

Polskich rodzin było tu już osiadłych 60, a między niemi 11 ze Sokołówki i z Mühlbachu, które zobaczywszy Misyonarzy, a mnie sobie ze Sokołówki przypomniawszy, poczęły płakać, bo zwiększyła się ich tęsknota za nabożeństwami, których w Sokołówce miały taką obfitość wielką, a teraz tego im tak bardzo braknie. Poszliśmy przedewszystkiem do kaplicy, będącej już na ukończeniu, a potem zwiedziliśmy kolonię

Nazajutrz rychło zrana poczęli się w kaplicy zbierać Polacy na nabożeństwo, któreśmy zapowiedzieli. Odprawiliśmy kolejno wszyscy trzej Msze św., wśród których śpiewał lud kolędy i spowiadał się. Wyspowiadaliśmy przeszło 50 osób, które Ks. Mięsopust w czasie Mszy św. wykomunikował, poczem ja przemówiłem do nich, mocno panując nad sobą, aby się z nimi razem nie rozrzewnić, bo płakali bardzo, gdym im wspominał o rodzinnym kraju, gdym ich krzepił na duchu, mówił, by się nie zniechęcali, a przedewszystkiem aby się Boga trzymali. Trzeba zaś było ich i pocieszać i otuchy dodawać, bo byli wtedy przygnębieni. Początki zawsze trudne, tęsknota za domem rodzinnym jeszcze się nie uciszyła, a przytem jak na domiar złego, nadzwyczajne mieli powody do zniechęcenia się. Zeszłego roku szarańcza zjadła prawie wszystkie pierwociny ich pracy na tej ziemi, tego roku straszne upały i posucha trwająca już trzy miesiące groziła znów klęską, a w dodatku młoda szarańca chmarami całemi wydobywała się z jajek złożonych w ziemi. Upadali więc na duchu, a słów pociechy i zachęty ze strony kapłana nie mieli tak często, jakby pragnęli i jak zwłaszcza w tych okolicznościach potrzebowali. Przyrzekłem im, że przynajmniej raz na miesiąc będzie do nich Misyonarz regularnie przyjeżdżał i zachęcałem, aby się pozatem zbierali w kapliczce i krzepili się wspólną modlitwą.

Zaznaczyć trzeba, że mimo tych trudnych warunków koloniści nie przymierali głodem. Mężczyźni otrzymywali zarobek przy kopaniu dróg na tej i sąsiedniej kolonii; zarabiali po 5–6 milr. (około 8 kor.) dziennie, kredyt za poręką dyrekcyi zawsze mieli koloniści w sklepach. — W południe

wśród strasznego upału opuszczaliśmy tę kolonię i wracaliśmy do Prudentopolis, gdzieśmy stanęli przed 5-tą wieczorem.

Po zakończeniu wizyty w Prudentopolis, zwiedziłem drugą kolonię, o której wspomniałem, t. j. Ivahy. Leży ona od Prudentopolis na północny wschód i jest odległa mil 11 drogą kołową przez Imbituwę, a 7 mil konno ścieżkami. Ponieważ nie mieliśmy już wrócić do Prudentopolis i wybraliśmy się z bagażami, więc obraliśmy drogę kołową. Wyjechaliśmy dnia 3. stycznia o godz. 6 rano czwórką rączych koni — dopiero o $4^1/_2$ pod wieczór stanęliśmy na miejscu. Droga bowiem jest ogromnie przykra, upał zaś i kurz dokuczał nam nieznośny. Kolonia ta bardzo rozległa, bo przez S. Roche sięgająca aż ku Terezinie na północ, jest bardzo dobrze założona, przecinają ją już niezłe drogi i grunta ma dobre. Polaków było tu już przeszło 250 rodzin. Rusinów podobno prawie tyleż. Na kościół polski miejsce przygotowane i drzewo nań obrabiali. Mogli tu Polacy dostać znaczną zapomogę rządową na kościół, ale wskutek tego, że nie było między nimi zgody i że nie chcieli dopuścić, aby kościół wraz z gruntem był zapisany na imię biskupa, nie otrzymali jej. Tymczasem jeden dom drewniany, dość lichy, przeznaczyli na kaplicę i na mieszkanie księdza, któregoby chcieli mieć na miejscu. Przyszło z nich kilku do mnie, domagając się usilnie księdza na miejscu, aby on i budowy kościółka dopilnował i szkołę otworzył. Niestety, nie mogłem im tego obiecać: przyrzekłem im tylko, że przynajmniej raz na miesiąc będzie do nich przyjeżdżał Misyonarz z Prudentopolis. Niestety, nie korzystali oni z obecności naszej tamże. Zaraz po przyjeździe, choć tak bardzo znużeni, zwiedziliśmy część kolonii, zajrzeliśmy do baraków, gdzie byli nowi przybysze od Zbaraża, i głosiliśmy wszędzie, że jutro będą w kaplicy aż 3 msze św., że pragniemy ich wyspowiadać i t. d., ale niestety na drugi dzień, prawie że nikt nie przyszedł. Prawda, że w dalszej części kolonii nie wiedzieli o naszem przybyciu, ale, gdyby byli przyszli ci, co

wiedzieli, mielibyśmy roboty dosyć. Jest to lud z Królestwa i z najdalszego wschodu Galicyi, bałamucony w drodze emigracyjnej, potem pochłonięty początkową troską o chleb powszedni, a przy tem pozbawiony częstszego wpływu kapłana, więc zaniedbany. Obecnie dojeżdżają tam nasi konfratrzy z Prudentopolis częściej, więc nadzieja, że więcej w tej kolonii dla Boga rozbudzą. — Dnia 4 stycznia pożegnaliśmy obydwaj z Ks. Chylaszkiem księdza Mięsopusta, który tu został, aby przez parę dni popracować nad tymi duszami, zwiedzić podczas kolędy i poświęcić im domy — i o godz. 11 przed poł., wśród strasznego upału i duszącego kurzu ruszyliśmy naszą czwórką w podróż ku Ponta Grossa. W tym dniu mieliśmy zrobić mil 11, aby się dostać przez Ypirangę na nocleg w mieścinie Conchas. Droga ciężka, krajobraz zmienia się kilka razy. Przez jakiś czas jedziemy wśród gajów Herva Mate (herbaty tamtejszej), potem przez piaski, jakoby Sahary, przez głębokie lasy, palące się stepy i wreszcie około 11 w nocy stajemy w Conchas, gdzie znaleźliśmy w alkierzyku tamtejszego „hotelu" jaki taki nocleg. Na drugi dzień rychło rano puszczamy się już wśród upalnego skwaru do Ponta Grossa. W drodze spotykamy 4 wielkie bryki, ciągnione każda przez 8 lub 10 wołów, napełnione wychodźcami polskimi z Królestwa, których wiozą na kolonię, z której wracamy, t. j. Ivahy. Zobaczywszy księży, ucieszyli się, podchodzą z zaufaniem i dopytują się, gdzie to jest kolonia Ivahy, dokąd ich wiozą, jak tam im będzie i t. d. Dowiedziawszy się od nas, że z tamtąd właśnie jedziemy, że tam grunta dobre, że i ksiądz tam będzie dojeżdżał — ucieszyli się. Zmęczeni i zmordowani, wyglądali teraz, jak dusze czyścowe, któreby usłyszały, że kończy się czyściec, a oto za chwilę otworzą się drzwi do raju. Było ich 11 rodzin. Długo jeszcze potem ze wzgórza zwracałem się wstecz i śledziłem w oddali na stepie tę wlokącą się powoli karawanę naszych biednych wychodźców i było mi jakoś na ten widok bardzo smutno. — Mijamy potem w oddali w bok położoną kolonię, gdzie jest około

20 polskich rodzin, nazwiskiem Taquara, inną, gdzie także kilkadziesiąt polskich rodzin, Donna Gertruda, którą Polacy nazwali „Donositruda", a Brazylianie w urzędach na pocztach i t. p. nazwę tę „polską" uznają i szanują. Obydwie te kolonie należą pod względem kościelnym do Ponta Grossy. Przed południem stanęliśmy w hotelu w Ponta Grossa — a kiedy przyniesiono mi wody, abym się mógł umyć, myślałem o tem, jak to wiele jest dobrodziejstw, które odbieramy od Boga, a za które nie dziękujemy Mu należycie. Wodę do mycia uważałem dotąd za coś tak mi się należącego i coś tak zwyczajnego, żem nie myślał o tem, aby Bogu za nią osobno dziękować. Zrozumiałem wtedy, jaka i w tem niewdzięczność, boć to takie wielkie dobrodziejstwo, że człowiek znużony, kurzem cały okryty i omdlewający od upału, znajdzie na pokrzepienie wodę.

O godz. 2 po poł. siedliśmy na pociąg ku Kurytybie. Ponieważ cel mej dalszej podróży była L u c e n a (Itayopolis), do której ostatnia stacya kolejowa jest Rio Negro, na drodze kolejowej, odłączającej się od tej głównej linii (Curityba - Ponta Grossa) w Serrinhii, gdzie połączenie mieliśmy mieć dopiero pojutrze, więc pojechaliśmy do Thomaz Coelho, aby tam przepędzić dzień następny, t. j. święto Trzech Króli. Pojechaliśmy więc za Serrinhą o 4 stacye dalej, t. j. do Bariguy, stacyi najbliższej Thomaz Coelho, gdzie stanęliśmy o 8 wieczór. Dnia 7 stycznia o $8^1/_2$ r. już nas znowu pociąg poniósł z powrotem do Serrinha, skąd wróciliśmy się wyżej wspomnianą odnogą kolejową na południe do Rio Negro, gdzie stanęliśmy o godz. $3^1/_2$ po poł., oczekiwani na stacyi przez ks. Kominka, który już dnia poprzedniego przyjechał tutaj czwórką rączych koni, aby one mogły sobie tu wypocząć, a potem nas jak najprędzej przewieźć do Luceny, dokąd jest jeszcze 40 km. ciężkiej drogi kołowej. To też spiesznie spożyliśmy posiłek, jaki kazał Ks. Kominek w hotelu dla nas przygotować, kilka tylko słów zamieniliśmy z proboszczem tamtejszym Ks. Erznerem, niemcem, (Rio Negro jest brazylijsko - niemieckiem miasteczkiem), który stał

nad budową nowego kościoła, którą zaczął, i spieszyliśmy do Luceny, gdzie o godz. 9, wśród niemilknących rakiet, co płoszyły nam rozpędzone konie, i w blasku licznych lampionów, jakiemi oświetlony był ogród i dom konfratrów, stanęliśmy przed kościołem, witani przez licznie zebranych kokonistów, z którymi się witałem, jak z dobrymi znajomymi, wśród których przed 4 laty kilka dni miłych przebyłem.

Lucena została, jak już Roczniki pisały, przezwaną teraz urzędowo Itayopolis. Dawniej dawano nowym koloniom nazwy zapożyczone od nazwisk ludzi, co się dla kolonii zasłużyli albo w kraju zajmowali wybitne stanowisko. Obecnie dostrzegł w tem rząd pewną niewłaściwość i zakazał tego nadal, a koloniom, które już były ochrzczone imieniem jeszcze żyjących ludzi, nadał inne nazwy. Zwykle te nazwy zapożycza u imion poblizkich rzek lub gór. Lucenę nazwał więc miastem z pod góry Tayol, wznoszącej się w oddali, a będącej świętą górą Botokudów, którzy u jej stóp głębokie lasy zamieszkują.

Jak już wiadomo czytelnikom, w Itayopolis czyli Lucenie należy odróżniać miasteczko leżące o 6 km. bliżej Rio Negro, gdzie jest siedziba „władz" i „kamry", i kolonię rolniczą Lucenę, gdzie jest znów centrum ruchu religijnego. Mówiąc zwykle o Lucenie, rozumiemy tę ostatnią, bo tam jest kościół główny i plebania, mieszkanie naszych konfratrów. W Lucenie miasteczku jest także licha kapliczka, do której nasi co niedzielę dojeżdzają. Ludność jest w miasteczku przeważnie brazylijska, a mało Polaków, na kolonii zaś są Polacy i Rusini. Ogólna liczba parafian, zostających pod opieką naszych konfratrów, wynosi tu około 5.000. Kościół w Lucenie, którego widok podały Roczniki w r. 1906 str. 21 — jest lichy, drewniany i zbyt mały. Obecnie postanowili Polacy zbudować kościół nowy, murowany, duży i ładny. Z zapałem wzięli się do składania pieniędzy i wkrótce mają zacząć budowę. W szkole, na miejscu dawnej nauczycielki, uczy p. Żelazowski z Krakowa. — Jak już pisałem przed 4 lata, istnieje także kaplica na linii Iracema, w odle-

głości 24 km. od głównego kościoła. Zbudowana ona była wspólnie przez Polaków i Rusinów, którzy na tej linii są w większości. OO. Bazylianie, którzy w pobliżu tej kaplicy osiedli, są w niej wyłącznymi gospodarzami i nadali jej zupełnie charakter ruskiej cerkiewki. Podobnie chcieli zrobić z inną kaplicą, zbudowaną także wspólnie przez Polaków i Rusinów, na gruncie polskiego kolonisty, na linii Moema, w odległości 30 km. na południowy wschód od głównego kościoła. Przez długi czas odprawiali tam polscy i ruscy księża nabożeństwa dla swych wiernych naprzemian. Powoli Rusini wsunęli tam carskie wrota, a wreszcie kaplicę przed Polakami zamknęli i nie chcieli naszych księży wpuścić. Wywiązały się spory i utarczki, w których po stronie Rusinów, metodą Ukraińców, dowodził O. Bazylianin Tytła. Po przeszło dwóch latach sporu odzyskali wreszcie Polacy swe prawa i znów nadal wspólnie z Rusinami z kaplicy korzystają. — Pojechałem tę kaplicę, jak i całą linię Moema, zwiedzić dnia 11 stycznia. Wyjechaliśmy o godz. 5 z Ks. Chylaszkiem i Ks. Kominkiem i przyjechaliśmy o 9 przed kaplicę, gdzie oczekiwało nas już wielu bardzo kolonistów, witając oczywista „fogietami“ i strasząc nam konie. — Widziałem, jak wielką radość sprawiliśmy im naszym przybyciem. Było między Polakami i dużo Rusinów, którzy nas równie serdecznie witali. Wyspowiadaliśmy ich przeszło 60 osób, a po mszy św. śpiewanej, odprawionej przez ks. Kominka, przemówiłem do nich na temat: „Pokój ludziom dobrej woli.“ — Jeden raz więcej znów mówiłem sobie, że ten lud ruski dobry jest i poczciwy, szkoda tylko, że jest podżegany, a nie ma dosyć rozeznania, aby rozróżnić między podżegaczami, a prawdziwymi przyjaciółmi. — Po nabożeństwie Ks. Kominek poszedł z procesyą na cmentarz, aby poświęcić groby ostatnich zmarłych. Na pogrzeby bowiem każdego zmarłego księdzu tu nie podobna, wobec tej uciążliwej drogi, przyjeżdżać. Myśmy tu przyjechali wprawdzie w pięciu godzinach, ale czwórką koni wybranych i przy nadzwyczajnej forsie. Zwykle tak jeździć nie można. — Dlatego więc ko-

loniści w tych odległych krańcach kolonii chowają zmarłych najczęściej bez księdza, który potem przy okazyi uroczyście w procesyi pogrzebowej idzie na cmentarz i poświęca grób. W domu kol. Zielińskiego, pochodzącego od Kamionki Strumiłowej, częstowali nas potem poczciwi ci ludzie obiadem i okazywali swą radość z naszego przybycia, jak ich było stać. — Pojechaliśmy jeszcze na sam kraniec tej linii, ciągnącej się jeszcze 7 km., a przytykającej już do lasów, w których się kryją dzicy Botokudzi. Koniec nawet tej linii jest już na terytoryum, które oni przedtem zajmowali. Wskutek tego podrażnieni tem, iż wyparto ich z ich siedzib, napadali początkowo na kolonistów i mordowali ich okrutnie. Ostatni taki napad był w r. 1896. Wymordowali oni wtedy w samo południe 13 osób. — Na krańcu tej linii są groby tych ofiar dzikości nieszczęsnych Botokudów. Zwiedziliśmy te groby, aby się nad nimi pomodlić. Ludzie witali nas wszędzie serdecznie i opowiadali dzieje tych napadów. — Wendzista Schneider, niemiec, do którego domu przejeżdżając mimo, musieliśmy nagleni jego prośbami wstąpić, ofiarował mi do naszego muzeum pałkę, którą Botokudzi swe nieszczęsne ofiary mordowali, zbroczoną jeszcze zaschłą krwią, a którą on z pietyzmem przechowywał. — Mężczyźni tutaj chodzą zawsze z wielkimi pistoletami i „fakami“ (długie noże) u boku, bo nie są pewni, czy się czasem te napady nie powtórzą. Linia ta Moema jest tak stara jak i sama Lucena, ma więc lat 19 istnienia i liczy 173 familii, we większości Polaków.

Zakończywszy dnia 13 stycznia wizytę w domu w Lucenie, puściłem się z moim wiernym uczestnikiem trudów Ks. Chylaszkiem w dalekie podróże, w nieznany mi dotąd kraj Santa Catharina i Rio Grande do Sul.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wśród Polaków w północno-zachodnich Niemczech.

W lecie roku 1910 i w ciągu zimy 1910/11 pracowali Konfratrzy z naszej prowincyi, księża Bieniasz, Truszkowski, Witaszek i Góral, nad polskimi wychodźcami w Belgii i w północnej Francyi. Tego roku otwarło się znów inne pole podobnej pracy w Niemczech.

Ks. Adolf Bertram, Biskup z Hildesheim, którego dyecezya rozciąga się na prowincyę hanowerską i Brunszwik, przesłał do Przewiel. ks. Wizytatora list, datowany dnia 23 czerwca bież. roku, w którym błaga o ratunek duchowny dla Polaków, w jego dyecezyj bądź stale osiadłych, bądź przybywających peryodycznie na sezonową pracę. „Rozchodzi się, powiada, nie o ścisły obowiązek pasterski wobec własnych owieczek, ale o przysługę miłości względem polskich poddanych obcych dyecezyi, których liczba wynosi 15—17.000“. Zwracał się ks. Biskup z prośbą do ks. Kard. Koppa we Wrocławiu i do ks. Biskupa Likowskiego w Poznaniu, ale bezskutecznie. Usilnie więc jeszcze tutaj błaga, jak mówi, w interesie biednych Polaków o pomoc.

Na skutek tej prośby gorliwego Arcypasterza wyjechało z początkiem lipca dwóch Konfratrów do Hildesheim.

Jeden z nich, ks. Paszyna pracował przez lipiec i sierpień, drugi, ks. Witaszek jeszcze dotąd nie skończył swej pracy misyjnej. O przebiegu i pięknych owocach tych ekskursyj apostolskich piszą obydwaj Misyonarze w szeregu listów do Przewiel. ks. Wizytatora.

Podajemy je tutaj niemal w całości.

List ks. Witaszka z Hildesheim, dnia 26 lipca 1911 r. Upływa już trzeci tydzień mego pobytu w dyecezyi hildesheimskiej; przesyłam więc sprawozdanie w chronologicznym porządku.

W piątek, dnia 7 lipca stanąłem w Goslar, a stąd powozem pojechałem do Grauhof. Tutaj powitał mnie serdecznie ks. dziek. Strüber. Zacny ten kapłan na wszystkie strony kołatał już o księdza polskiego, któryby Polaków przebywających w jego parafii wyspowiadał i głosił do nich słowo Boże w języku dla nich zrozumiałym. Od kilku lat przyjeżdżali tu w czasie wielkanocnym OO. Jezuici z Krakowa i przechodzili poszczególne parafie w całej dyecezyi. W tym jednak roku nie mogli się podjąć tej pracy z powodu licznych zajęć w kraju.

Na zjeździe dziekanów w Hildesheim zażądali wszyscy od ks. Biskupa polskiego kapłana, gdyż nie podobna im patrzeć na ten lud tak opuszczony. Biskup tłómaczył się, ubolewając zarazem nad tem, że nie może znikąd otrzymać polskiego kapłana. Nie mając więc pomyślnych widoków, polecił ks. Biskup, aby każdy proboszcz sam starał się dla swej parafii o polskiego kapłana. Starania takie czynił w Pelplinie ks. dziekan Strüber z Grauhof. Wkrótce jednak otrzymał od Biskupa z Hildesheim wiadomość, że do jego parafii przyjedzie dnia 7 lipca polski kapłan z Krakowa, gdyż otrzymał od ks. Wizytatora księży Misyonarzy obietnicę przysłania dwóch kapłanów, którzy objeżdżać będą dyecezyę. — Wszystko to opowiadał mi ks. dziekan zaraz na wstępie, chcąc przez to wyrazić radość z przyjazdu polskiego księdza do parafii. Potem oprowadzał mnie po obszernem zabudowaniu, pokazywał kościół i zakrystyę.

Cała parafia katolicka liczy tylko 220 dusz, rozproszonych po pięciu wsiach i dwóch folwarkach. Połowę prawie stanowią Polacy stale tu osiedli, dziś prawie zupełnie zniemczeni. Wieczorem o godzinie 7 przyszli Polacy do kościoła. Włodarz z Grauhof, rodem z Poznańskiego, ożeniony z niemką, pozwolił dziś polskim robotnikom wcześniej za-

kończyć pracę, by o godzinie 7 mogli być już w kościele. Za nimi nieco później przyszła druga gromadka z dworu Ohlhof. Razem więc było osób 83. Miałem do nich krótką naukę, by przygotować ich do godnego przyjęcia Sakramentu Pokuty św. Potem słuchałem spowiedzi. Komunię św. przyjęli w sobotę rano na Mszy św., gdyż udało im się uzyskać pozwolenie, że w sobotę stawić się mogą do roboty dopiero po śniadaniu. W sobotę wieczorem po ukończonej pracy zbiegło się do kościoła osób 85; przyszli z dalszych dworów i cegielni. W niedzielę rano wyspowiadała się reszta w liczbie 45. Wszystkim Polakom rozdałem Cudowne Medaliki i przyjąłem ich do bractwa Cudownego Medalika. Po sumie miałem kazanie, a następnie błogosławieństwo Najświętszem Sakramentem. Na kazaniu zaleciłem im, żeby sobie kupili „Wykład Wiary“ ks. Gawrońskiego i wspólnie czytywali, przez $^1/_2$ godziny w niedziele i święta, by tym sposobem choć w części wynagrodzić sobie brak słowa Bożego. Poszli chętnie za tą wskazówką i zamówili 8 egzemplarzy. W niedzielę popołudniu odwiedziłem naszych robotników w Grauhof. Sezonowych robotników polskich jest tutaj 58. Oprócz tego jest tu kilka rodzin polskich stale osiadłych, lecz dzieci ich ani słowa nie umieją po polsku. Sezonowi robotnicy mieszkają razem w koszarach. Mężatki i dziewczęta są razem w jednej wielkiej sali znajdującej się w jednem skrzydle dawnego klasztoru; chłopi i młodzieńcy mieszkają w osobnym budynku na podwórzu folwarcznem.

Opiekę nad ogniskiem ma żona włodarza, ona także pilnuje, by wszystko było ugotowane, kiedy robotnicy wracają z pola. Chłopcy także przy temsamem ognisku gotują sobie jedzenie. Zwykle jednak zastępują ich w tem ich siostry lub inne dziewczęta przez nich uproszone. Co do zarobku rzecz przedstawia się tak: chłopi zarabiają dziennie 1·90 do 2·30 marek; chłopacy 1·40 do 1·80 marek; dziewczęta i kobiety 1·25 do 1·60 marek. Poza zarobkiem dziennym mają wiele zarobku na akord, n. p. okopywanie buraków, plewienie, koszenie zboża i wiązanie, zbieranie

ziemniaków i t. p., wtedy trochę więcej zarabiają. Oprócz tego otrzymują tygodniowo 25 funtów ziemniaków i 2 funty grochu lub ryżu, a codziennie 1 litr mleka zbieranego lub $1/2$ litra słodkiego. Czas roboty trwa od 5 rano do 7 godziny wieczorem, z przerwą półgodzinną na śniadanie, godzinną w południe i znowu półgodzinną na podwieczorek. W poniedziałek odwiedziłem osiadłych Polaków w ich domach, a jednej chorej mężatce udzieliłem Sakramentów św. Na tem zakończyłem pracę duszpasterską w Grauhof. W czwartek, 13 lipca miałem pojechać do Dorstadt. Miałem więc dwa dni wolne do dyspozycyi. W jednym poszedłem do Goslar, by oglądnąć zabytki z czasów cesarzów niemieckich, a na drugi dzień zaproponował ks. dziekan wycieczkę kolejową do Harzburg, miasteczka, położonego w górach Harceńskich. Tam spotkaliśmy trzech proboszczów, do których mam także jechać. Wszyscy objawili wielkie zaintesowanie się naszymi wychodźcami i ubolewali nad tem, że tak długo nie było jeszcze polskiego księdza w ich parafiach. To spotkanie dodało mi wiele otuchy, bo przekonałem się, że napotkam tu na księży życzliwych.

Wycieczkę naszą skierowaliśmy na Burgberg, bo chcieli mi pokazać pomnik Bismarka z napisem: „Nach Canossa gehen wird nicht“. Pomnik ten wystawili liberałowie Bismarkowi, gdy walczył z Kościołem, na temsamem miejscu, z którego Henryk IV. ruszył do Canossy. Ponieważ jednak pomnik ten postawiono bez poprzedniego odniesienia się do margrabiego brunszwickiego, oburzony tem samowolnem postępowaniem margrabia pozwolił katolikom wybudować u stóp tej góry kościółek pod wezwaniem św. Grzegorza VII. papieża.

W czwartek rano pojechałem koleją do Hedwigsburg, skąd miałem się udać do Dorstadt. Stanąłem na peronie, a tu mała jakaś dziewczynka woła na mnie z daleka, że ona po mnie przyjechała. Idę więc za nią: pokazuje mi mały wózek ręczny. Włożyłem kuferek na wózek, a sam kroczyłem w upale słonecznym przez trzy kwadranse. Wnet

jednak poznałem, dlaczego proboszcz nie posłał po mnie wozu na kolej, bo wszyscy jego parafianie, jak wogóle katolicy w całej dyecezyi hildesheimskiej, to prawie wyłącznie robotnicy i najbiedniejsza ludność; w całej parafii Dorstadt, liczącej 300 dusz, żaden katolik nie posiada konia.

Tego samego dnia wieczorem rozpocząłem spowiedź. Około godziny 8 zgromadziło się 120 osób. Nad ranem po skończeniu spowiedzi rozdałem Komunię św., powiedziałem kilka słów zachęty i rozdałem Cudowne Medaliki.

W piątek wieczorem poszliśmy z ks. proboszczem do folwarku w Hedwigsburg, gdzie pracuje 62 Polaków, 41 dziewcząt i 21 chłopców. Włodarzem jest tutaj Polak, rodem z Poznańskiego. Nie przebywa on tu jednak stale; jesienią wraca z całą rodziną do kraju, a w lutym znowu przybywa z robotnikami zwerbowanymi, głównie z Królestwa.

Człowiek to bardzo uczciwy, dba bardzo o stronę moralną swych robotników, karci bardzo surowo każde, choćby małe wykroczenie pod tym względem. Stąd też jego gromadka dobrze się prowadzi i pilnie uczęszcza do kościoła.

Wróciwszy wieczorem do Dorstad zastałem w kościele kilkoro osób do spowiedzi, które wczoraj przybyć nie mogły. Wyspowiadałem je, a po północy dałem im Komunię św.

W sobotę rano poszedłem na prośbę ks. proboszcza ze Mszą św. do ochronki Sióstr Wincentek. Tu dowiedziałem się najsmutniejszych rzeczy o Polakach, którzy mieszkają w koszarach obok ochronki, że mianowicie codziennie późno w noc, a niekiedy aż do rana odbywają się tańce przy grze na harmonice, głośne tam krzyki, śmiechy i hałasy, że nigdy prawie nie chodzą do kościoła, tak, iż Siostry były przekonane, że to protestanci. Wracając z ochronki, wstąpiłem do włodarza, zapowiadając, a raczej grzecznie prosząc o pozwolenie zobaczenia się w porze południowej z Polakami. Włodarz ten jest protestantem, nie dba więc

zupełnie o moralną stronę swych robotników. Przyszedłem w południe. Wszyscy Polacy, w liczbie 60 zgromadzili się w sali jadalnej. Są to sami chłopcy i dziewczęta poniżej 20 lat, kilkoro zaledwie jest nieco starszych. Początkowo rozmawiałem z nimi o rozmaitych rzeczach, a następnie wyraziłem mą wielką boleść z powodu tego, że tak smutne wieści o nich mnie ze wszech stron dochodzą, że ludzie uważają ich za protestantów z powodu złego prowadzenia się i nieuczęszczania do kościoła. Dałem im odpowiednie przestrogi, zachęciłem do uczęszczania na Mszę św., o godzinie 7 rano, bo wtedy niema ludzi w kościele, nie muszą się więc wstydzić, że nie są dość porządnie ubrani i mogą śpiewać godzinki na Mszy św., na co im ks. proboszcz chętnie pozwoli. Ponieważ włodarz nie czuwa nad nimi, wybrałem z pomiędzy nich najporządniejszego chłopca i dziewczynę, by czuwali nad postępowaniem reszty. Ze łzami w oczach wszyscy przyrzekli poprawę. Mam przekonanie, że nastąpi zmiana na lepsze, bo są to dzieci, którym potrzeba było tylko naprowadzenia na dobrą drogę.

Po południu poszedłem do Heiningen, o pół godziny drogi od Dorstadt. Proboszcza tamtejszego poznałem już na wycieczce do Harzburg. Polacy zaczęli się zgromadzać do kościoła o godzinie 5 i pół. Usiadłem zaraz do konfesyonału, bo spodziewałem się dziś obfitego żniwa. Nadzieja mnie nie zawiodła, bo zgromadziło się 110 osób. Przybyli z dalekich stron, nawet z głębi margrabstwa brunszwickiego. Kilkanaście osób pozostało w kościele do rana, gdyż nie podobna im było wracać tak daleko. Rano w niedzielę o godzinie 5 i pół nowy zastęp oblegał konfesyonał; — wyspowiadało się ich jeszcze 120. Na Mszy świętej było Polaków około 500, między nimi byli także ci, którzy spowiadali się już w Dorstadt. Mimo tej wielkiej liczby, spokojnie pomieścili się wszyscy w kościele, bo niemiecka parafia katolicka liczy zaledwie 350 dusz, a przytem dosyć obojętni są, jak wogóle tu w tych stronach, pod względem uczęszczania do kościoła. Kościół prześliczny w stylu ro-

mańskim był własnością klasztoru Panien Augustyanek, które także w 1810 roku zostały wypędzone, a majątek ich sprzedany protestantowi, który obok kościoła urządził sobie lodownię, tak, że ściany kościoła stały we wilgoci. A choć już przed kilku laty musiał usunąć lodownię, to jednak kościała wysuszyć nie można. Proboszcz tutejszy bardzo jest przychylny Polakom, bo widzi, jak wiele dobrego robią w jego parafii przez dobry przykład.

By ich utrzymać w dobrem, sprowadza im po kilkanaście egzemplarzy „Posłańca“, zaprasza po sumie i nieszporach tych, którzy przychodzą z dalszych okolic, na kawę, zbliża się do nich, jak może, uczy się nawet po polsku, by choć trochę się z nimi rozmówić.

Po sumie miałem kazanie. Zaleciłem im także wspólne czytanie „Wykładu Wiary“ ks. Gawrońskiego. Po kazaniu odprawił ks. proboszcz błogosławieństwo, a ja dalej słuchałem spowiedzi. Wieczorem poszliśmy z ks. proboszczem do koszar Polaków. Włodarzem jest tu Polak z Poznańskiego, który także wraca na zimę do kraju rodzinnego. Chłopcy i dziewczęta są wszystkie prawie z Galicyi z pod Bochni, dwie tylko z Poznańskiego. W poniedziałek rano przyszło 11 osób do spowiedzi, przyszli piechotą 2 i pół godziny drogi. Przed południem poszliśmy z ks. proboszczem do Börssum, niosąc Najświętszy Sakrament do chorej żony pewnego urzędnika kolejowego, pochodzącego z okolic Ostrowa.

O g. 8 wieczorem przybyło jeszcze kilkoro. Wyspowiadałem ich, a potem poleciłem, by czekali aż do północy na Komunię św. Jeszcze o pół do jedenastej przyszło 21, którzy pociągiem przyjechali z dalszych stron. Po spowiedzi i Komunii św., wrócili wszyscy razem w deszczu do swoich osad piechotą, bo nie było odpowiedniego pociągu, a niektórzy mieli do trzech godzin drogi.

We środę wieczorem wróciłem do Dorstadt, by przygotować Polaków do bierzmowania, którego ks. Biskup udzielać miał w tej parafii w przyszłą niedzielę. Osób do bierz-

mowania było 72. Miałem do nich naukę o bierzmowaniu, a następnie usiadłem do konfesyonału. Oprócz poprawek przystąpiło do spowiedzi jeszcze 32, przeważnie mężczyzn, którzy pracują w cegielniach w Klein- i Gross-Biewende, miejscowościach oddalonych od Dorstadt o dwie godziny drogi. Biedacy ci już od popołudnia nic nie jedli, by do Komunii św. na Mszy św. przystąpić mogli.

W czwarek rano pojechałem do Hildesheim, gdzie zjechać mieliśmy się z ks. Paszyną, by razem przedstawić się ks. Biskupowi. Skoro tylko dowiedział się ks. Biskup o naszym przyjeździe od ks. Regensa Seminaryum, do którego napisałem o naszym przyjeździe, natychmiast do mnie napisał do Dorstadt, że oczekuje naszego przybycia i oznaczył godzinę przyjęcia. Ks. Biskup przyjął nas z największą serdecznością. Wyrażał wielką wdzięczność dla ks. Wizytatora za to, że raczył przysłać kapłanów do pastoryzacyi Polaków. Pokazywał niektóre listy, pisane do niego przez Polaków, błagających o kapłana polskiego. Czytając te listy, w których Polacy wyrażali swe rzewne nalegania, objawiał swą boleść, że nie może im dopomódz, tak, jakby tego pragnął. Najwięcej trapią go trudności, jakie napotyka w margrabstwie brunszwickiem, gdzie tyle tysięcy Polaków przebywa. W Brunszwiku nie wolno przebywać żadnemu kapłanowi zagranicznemu, nawet kapłani dyecezalni, których Biskup przysłał do margrabstwa, muszą mieć osobne pozwolenie od rządu tamtejszego, nawet Mszy św. nie wolno pod karą odprawiać bez zezwolenia władzy świeckiej. Przed kilku laty istniało tam jeszcze prawo, że nawet proboszcz tamtejszy musiał mieć od miejscowego pastora protestanckiego pozwolenie na każdorazowe udzielanie chrztu św. lub na pochowanie zmarłego. Ks. Biskup wyraził w końcu nadzieję, że ks. Wizytator będzie go odtąd nadal wspierał w pracy nad Polakami, którzy w jego dyecezyi są jak owce bez pasterza. Na koniec otrzymaliśmy plan wszystkich dalszych ekskursyj, który w załączeniu posyłam ks. Wizytatorowi.

Cieszę się bardzo z tej pracy i jeżeli ks. Wizytator uważa za dobre, proszę, abym mógł tu pozostać do końca. Choć te nocne spowiedzi nieco męczą, to jednak owoc bardzo pocieszający, a gdy się widzi tych biedaków, garnących się z takim zapałem do konfesyonału i do Pana Jezusa, to zapomina się o wszystkiem.

Zresztą w ciągu dnia wszystko sobie wynagradzam, tak że nie czuję żadnego zmęczenia, bo przyzwyczaiłem się już do tego sposobu życia. W wolnych dniach, pomiędzy poszczególnemi ekskursyami zjeżdżamy z ks. Paszyną do Seminaryum w Hildesheim. Ks. Regens nadzwyczaj dla nas życzliwy stara się o to, by nam tu było dobrze. Kleryków na ostatnim roku jest tutaj tylko dziesięciu, gdyż taka liczba zupełnie wystarczy dla dyecezyi.

Na prośbę ks. Regensa udzielam jedną godzinę dziennie w dniach mego pobytu w Seminaryum lekcyi języka polskiego. Polega ona na tem, że uczą się czytać wymawiać po polsku. Wszyscy kapłani w dyecezyi posiadają książeczkę „Comes polonicus". Jest to podręcznik dla spowiednika, w którym znajduje się cały przebieg spowiedzi w języku polskim i niemieckim. Przy pomocy tej książeczki radzą sobie nieraz kapłani w ostatniej potrzebie.

W sobotę po południu pojechałem do Steinbrück, 25 minut koleją od Hildesheim. Wieczorem wyspowiadałem 70 osób, a w niedzielę rano około 60. Ponieważ nie było wielkiego natłoku do spowiedzi, mogłem więcej czasu poświęcić głoszeniu słowa Bożego. Miałem więc jedną naukę po Komunii św., drugą po sumie, a trzecią o bierzmowaniu po błogosławieństwie popołudniowem, gdyż w następną niedzielę miał tu ks. Biskup udzielać bierzmowania. Po nauce włożyłem Cudowne Medaliki i zaleciłem wspólne czytanie ks. Gawrońskiego. Zamówili 14 egzemlarzy. Następnie wyspowiadałem jeszcze kilka osób, a potem poszliśmy z ks. proboszczem do Lafferde, gdzie 60 dziewcząt i kilku chłopców z Prus Zachodnich pracuje w fabryce konserw owocowych. Zarabiają tam na godznę 17 fenigów, a przytem otrzymują

całe utrzymanie z wyjątkiem chleba. Mieszkanie jednak mają bardzo niezdrowe, gdyż w zaledwo 5 m. długie, 3 m. szerokiem, a 2 i pół m. wysokiem, mieszka 13 dziewcząt; a po ścianach jeszcze mają porozwieszane ubrania i pudła z kapeluszami.

Powróciwszy do Steinbrück wstąpiliśmy do koszar Polaków, gdzie wszystkich razem chłopców i dziewcząt jest przeszło 60.

W poniedziałek wieczorem przybyło jeszcze kilkadziesiąt osób do spowiedzi. Trzy dziewczęta naczczo pracowały cały dzień w polu, a wieczorem odbyły godzinną drogę, by się wyspowiadać i przyjąć Komunię św. Ci, którzy nie byli naczczo, czekali aż do północy na Komunię św., przez ten czas śpiewali, a ja przygrywałem im na organach. Nie przeszkadzało to nikomu, bo kościół stoi na uboczu, a ks. proboszcz posłyszawszy śpiew przyszedł do kościoła, gdzie pozostał do północy. Jest on bardzo wielkim zwolennikiem polskich śpiewów; sam prosił Polaków, aby przed sumą i potem śpiewali. We wtorek powróciłem do Hildesheim, by odetchnąć, a następnie ruszyć do Salzgitter.

8 sierpnia b. r.

Powróciwszy ze Steinbrück dnia 25 lipca do Hildesheim, miałem według rozkładu ekskursyi czas wolny aż do soboty. Obróciłem go na zwiedzanie zabytków historycznych miasta i okolicy i przy tej sposobności wyszukiwałem Polaków, przebywających w Hildesheim.

W pobliżu Seminaryum biskupiego znajduje się schronisko dla starców pod zarządem protestanckich dyakonisek. Tam poszedłem najpierw. Początkowo robiono pewne trudności, mówiąc, że tam niema Polaków, potem, że jest tylko jeden Polak, ale protestant i t. p. Wreszcie jednak znalazła się tam staruszka osiemdziesięcioletnia, która słowa po niemiecku nie umiała, znalazł się morawiak, który jednak umie po niemiecku, po niemiecku się zatem spowiada; przyszedł także ów Polak, protestant, niejaki Augustyn

Wrochiet z Korytnicy w Poznańskiem, którego żona katoliczka z ośmiorgiem dorosłych dzieci odbiegła, gdy wskutek słabości stał się niezdolnym do pracy. Owa staruszka, opuszczona przez swoich czeka tu ostatniej chwili życia. Od szeregu lat spowiadała się spowiedzią wielkanocną po polsku przed kapłanami niemieckimi. Zaproponowałem jej spowiedź przed polskim kapłanem, na co się chętnie zgodziła. Poszedłem więc do niej incognito z Panem Jezusem, porozumiawszy się wprzód z dyakoniską, która bardzo uprzejmie przeprowadziła staruszkę do modlnicy protestanckiej, przygotowała stół, dwie świece etc.

Tuż obok schroniska znajduje się szpital, w którym są Siostry Wincentki. Tam nie miałem żadnych trudności, wiedziano tam bowiem już o polskim księdzu, gdyż od czasu do czasu odprawiałem Mszę św. w domu centralnym Sióstr Wincentek w Hildesheim. Zaraz przy wstępie do szpitala wprowadzono mnie do umierającej kobiety. Biedaczka nakładała wraz z chłopcem 14-letnim nawóz. Gdy dźwigali gnojnicę, ona nierozważnie dźwigała głową i w tej chwili uczuła straszny ból głowy, potem rwanie w piersiach, a teraz wśród duszności leży bez nadziei wyleczenia. Zaopatrzyłem ją na śmierć. W oddziele kobiet znajduje się jeszcze dwoje dziewcząt ze Zabierzowa, które dostały zapalenia egipskiego.

W ogóle Polacy pracujący tu w polu cierpią bardzo na oczy. Przy zmroku i przy świetle lampy zupełnie tracą wzrok. Niektórzy przypuszczają, że to jest porażenie od słońca, inni, że pochodzi to od sztucznych nawozów, którymi są posiane pola, szczególnie pod buraki. Siostry zaś w szpitalu twierdzą, że to jest zapalenie egipskie, które tu wśród Polaków bardzo jest rozpowszechnione. — Na oddziale mężczyzn znajduje się posługacz Polak i 5 chorych. Jeden z nich leży umierający na zapalenie płuc, bo nieostrożnie napił się przy sieczeniu zboża zimnego piwa. Tego zaopatrzyłem na śmierć, a innych, którzy chodzić mogli, wyspowiadałem w kaplicy szpitalnej i dałem Komunię św.

Przypadkowo na przechadzce natrafiłem za miastem na szpital miejski. Wstąpiłem do portyera ze zapytaniem, czy tu znajdują się Polacy. Gdy otrzymałem odpowiedź, że jest jeden lub dwóch, udałem się do kancelaryi szpitalnej, prosząc o podanie mi nazwisk ich i o pozwolenie, bym mógł ich obchodzić. Podano mi jedno tylko nazwisko, lecz znalazłem w pawilonie dwóch Polaków i jednego Bośniaka; od nich i od służby dowiedziałem się, że i w pawilonie kobiet są Polki. Poszedłem więc i tam, gdzie znalazłem cztery dziewczęta. Ponieważ żaden z przebywających tu Polaków nie jest śmiertelnie chory, podałem im tylko mój adres, by po opuszczeniu szpitala przyjść mogli do spowiedzi, bo tu byłyby pewne trudności, gdyż szpital ten obsługują protestanckie dyakoniski.

W Hildesheim jest także kilka rodzin polskich stale osiadłych. Pewna staruszka była już u mnie u spowiedzi św. wraz z ociemniałą córką 30-letnią. W tych dniach odwiedzę ją i spodziewam się, że dowiem się od nich o innych polakach.

W sobotę pojechałem do Salzgitter, miejsca sławnego z solnych kąpieli. Do spowiedzi św. przystąpiło 97 Polaków. Około 30 Polaków pracuje w cegielniach tutejszych; z pomiędzy nich połowa nie przystąpiła do Sakramentów św.. W nauce, którą miałem po sumie, zwróciłem do nich słowa upomnienia, lecz tylko dwóch dało im posłuch. Poszedłem więc do ich mieszkania, ale zastałem tylko żonatych mężczyzn, bo inni poszli do poblizkiego Grasdorf na wesele. Zapowiedziałem im, że będę 15 sierpnia w Liebenburg, 1 godzinę drogi odległem od Salzgitter, a oni przyrzekli, że tam przystąpią do spowiedzi i nieobecnych do tego nakłonią.

W poniedziałek popołudniu wróciłem do Hildesheim, gdzie miałem kilka dni wypoczynku. Wypoczywałem tęgo, bo od czwartku czekała mnie mozolna praca; tak bowiem sprawy się poukładały, że w czterech dniach z rzędu, miałem być w czterech miejscowościach, a więc cztery noce z rzędu przepędzić prawie bezsennie, a dni obrócić na po-

dróż. Najpierw pojechałem w czwartek popołudniu do Wohldenberg. Na pięknem wzgórzu, położonem w lesie wznosił się dawniej zamek biskupów hildelheimskich. W roku 1803, w czasie konfiskaty dóbr biskupich, zabrał rząd pruski i ten zamek wraz z posiadłościami, zostawiając katolikom do użytku kościół, część zamku oddano na mieszkanie dla proboszcza i na szkołę katolicką, resztę pozostawiono losowi, tak, że dziś pozostały tylko ślady ruin. Do spowiedzi św. zgromadziło się 55 Polaków z wiosek okolicznych. Pracują po części w dworze, a także po kilku u poszczególnych gospodarzy, jeden mężczyzna pracuje w młynie, a kilku w cegielni. Ponieważ rano musieli się wszyscy stawić do roboty o godzinie 5 dałem im po północy Komunię św.

Z Wolhdenberg udałem się do Henneckenrode, gdzie znajduje się zakład sierót pod kierunkiem Sióstr Wincentek i folwark, należący do tego zakładu, który dzierżawi pewien katolik. Zwiedziłem tu między innemi także gospodarstwo bardzo racyonalnie prowadzone. Prowadzą tu na wielką skalę tuczenie nierogacizny; 3 razy dziennie dają dla każdej sztuki po dwa funty śrutu jęczmiennego, zmieszanego z zimną wodą i nic więcej. Widać, że opłaca się ta hodowla, bo budują drugi ogromny gmach na kilkaset sztuk. Gdy Polacy wrócili z pola, poszedłem do nich, bo dowiedziałem się, że Rusini tu pracujący nie chodzą wcale do kościoła, a do spowiedzi także nie chcą przyjść. I rzeczywiście oświadczyli mi z góry, że do polskiego księdza do spowiedzi nie pójdą; nie pomogły żadne tłómaczenia. Uzyskałem wreszcie od nich to, że pójdą teraz do kościoła na naukę. Przyszło czworo: to jest 2 chłopców i 2 dziewczyny; jedna dziewczyna się nie stawiła. Gdy się wszyscy zgromadzili, miałem krótką naukę o spowiedzi, potem odprawiłem rachunek sumienia, zachęciwszy Rusinów, żeby i oni wraz z nami to uczynili, chociaż do spowiedzi zamiaru iść nie mają. Gdy Polacy się już wyspowiadali, Rusini dalej trwali w swym uporze. Zawołałem jednego podrostka i przypro-

wadziłem do konfesyonału, gdzie przekonałem się, że był przygotowany do spowiedzi, tylko jako uparty Rusin chciał postawić na swojem; zawołałem drugiego i on się wyspowiadał. Gorzej było z dziewczętami, bo one ani rusz. Rozdałem więc tym, którzy byli w spowiedzi medaliki Matki Boskiej, pomijając Rusinki, bo jakże mogłyby one nosić na piersiach wizerunek Matki Boskiej, gdy serce ich obarczone tylu grzechami, bo wszyscy wiedzą o tem, że nigdy nie chodziły do kościoła. Łzy im stanęły w oczach i prosiły, żebym je zaraz wyspowiadał. Brakowało więc już teraz jednej. Dałem jej znać przez towarzyszki, że jutro rano ma się koniecznie stawić do spowiedzi św. Rano o godzinie 5 i pół stawili się wszyscy w liczbie 40 do Komunii św., lecz upartej Rusinki nie było. Posłałem po nią z stanowczym rozkazem, że ma się natychmiast stawić. Za chwilę przyszłą oświadczając zaraz na wstępie, że będzie się spowiadać. — Tak to różnych lekarstw używać trzeba na słabostki ludzkie.

Popołudniu pojechałem do Wiedelah, położonego na granicy prowincyi Saskiej, wśród gór Herceńskich. Połowa parafii tutejszej, to Polacy osiedli, których jednak dzieci prawie nic po polsku nie umieją; zajęci są jako górnicy w tutejszych kopalniach. Rozkład zajęć był tu następujący: naipierw poszedłem do chorej staruszki mieszkającej w domku za wsią położonym, tam także przystąpił do spowiedzi 20-letni rekonwalescent. Następnie spowiadałem w kościele. Napływ penitentów był wielki, bo przybyli z dalekich okolic w margrabstwie Brunszwickiem i prowincyi Saskiej położonych. Wyspowiadałem tych, którzy z daleka przyszli, a miejscowych zamówiłem na niedzielę rano. We Wiedelah wyspowiadało się wszystkich 180. I tu znowu Rusini nie przystąpili do Sakramentów św.; upomniałem ich dlatego po nauce, by poszli do Vienenburg po południu, gdzie o godz. 3 rozpocznę pastoryzacyę; przyszło ich tylko kilku. We Vienenburg o pół godziny oddalonem od Wiedelah, zastałem w kościele około 200 Polaków. Wielu było już we Wiedelah u spowiedzi św.,

przyszli tutaj tylko na błogosławieństwo na i naukę. O godzinie $3^1/_2$ miałem błogosławieństwo, potem naukę o spowiedzi i rachunek sumienia i zaraz usiadłem do konfesyonału, bo do północy miałem 100 osób wyspowiadać. Po północy rozdałem im Komunię św., dałem Cudowne Medaliki i powiedziałem kilka słów zachęty do wytrwania w dobrem. Rano o godzinie 5 czekało znów kilkoro ludzi, by się wyspowiadać, a byli to stale osiedli górnicy, bo i tu jest kilkadziesiąt rodzin polskich osiadłych, które przepadły już zupełnie dla polskości, a w znacznej części i dla wiary św.

Po ukończeniu pracy śpieszyłem z powrotem do Hildesheim, gdzie będę mógł swobodnie odetchnąć przez kilka dni.

List ks. Paszyny, datowany z Peine w Brunszwiku d. 12 lipca.

Peine, to miasto prześliczne, położone nad rzeką Fuzą, liczące około 17.000 mieszkańców; z tych 3.000 katolików, około 3.000 żydów, reszta protestantów. Są tutaj fabryki żelaza, alkoholu, cukru i t. d. Polaków ma tu być przeszło 100, natomiast we Vechelde, miejscowości odległej stąd o kilkanaście klm. jest ich podobno do 500; jedni pracują na roli, drudzy w fabrykach.

Dnia 8 lipca zacząłem pracę. Około godz. 5 przybyli Polacy, zrazu małemi grupami, spowiadałem do godz. $9^1/_2$ w nocy. Ci, którzy przybyli koleją, zostali przez całą noc w kościele i aby nie zasnąć, śpiewali sobie przez cały czas pobożne pieśni. Właściwa praca misyjna zaczęła się w niedzielę 9 lipca. Już przed godz. 6 nadciągały kompanie polskich robotników i robotnic z Vechelde i z okolicy i zaczęli oblegać konfesyonał, do którego zasiadłem o godz. 6. O godz. 8 miałem wotywę, potem spowiadałem do $10^1/_2$, następnie miałem kazanie o potrzebie pracy nad zbawieniem duszy swej i znów spowiedź do godz. 3. O godz. 4 miałem dla nich błogosławieństwo. Wogóle wyspowiadałem w tym dniu 120 Polaków z pod wszystkich trzech zaborów, przeważnie dziewcząt, zatrudnionych po fabrykach i przędzalniach. Każ-

demu penitentowi dałem po spowiedzi książeczkę p. t. „Zabierz mnie w świat ze sobą“, drukowaną w Poznaniu, którą w wielkiej ilości nadesłał mi tutaj ks. Biskup z Hildesheim, bardzo troskliwy o dobro Polaków w jego dyecezyi przebywających. Z jego to rozporządzenia wydrukowano odezwy w języku polskim, zawiadamiające Polaków o przybyciu Misyonarza i porozlepiano je na drzwiach kościelnych. Z wielkiem zadowoleniem mogę dodać jeszcze to, że nie muszę wcale wyszukiwać Polaków i zachęcać ich do spowiedzi, jak to pierwotnie przypuszczałem, bo sami chlebodawcy, choć przeważnie protestanci, uważają za święty obowiązek, żeby posyłać robotników polskich do spowiedzi. Dnia 11 lipca przyprowadziła żona ekonoma z Rosentahl ze sobą około 40 osób, przeważnie z Poznańskiego. Inny znowu człowiek gorliwy, choć protestant, przysyłając 2 chłopaków i jedną dziewczynę polską do spowiedzi wystosował do mnie orędzie na piśmie, abym wiedział, kogo ma u siebie; nie było tam oczywiście dla nich nic pochlebnego; to też prosił mnie, abym się dobrze do nich zabrał przy spowiedzi, gdyż on sam rady sobie z nimi dać nie może. Inni znowu przynoszą mi swoje kontrakty do przejrzenia, z których przekonuję się, że warunki wcale dobre. Zarabiają dziennie w pracy na roli od 1·80 do 2·20 Mk. Dostają przytem drugie tyle in natura. O ile mogłem się przekonać, to Polacy tutejsi z małymi wyjątkami są wszyscy zadowoleni i z pracy i ze swoich chlebodawców, którzy im pozwalają nawet w ciągu tygodnia iść do kościoła do spowiedzi, jeżeli który tego zażąda; to też w ciągu tygodnia przychodzą rano lub wieczorem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Misya w Radgoszczy.

20—28 sierpnia 1911.

Zwykle sprawozdania z misyi obejmowały większą ilość misyi z dłuższego przeciągu czasu. Tym razem wyjątkowo daję opis jednej tylko misyi, bo też ona była wyjątkową, taką, jakie dziś się już rzadko przytrafiają. Wszędzie w Galicyi, we wszystkich parafiach były już misye, po parę razy nawet. Zupełnie inaczej wygląda misya w takiej parafii, w której się już inne dawniej odprawiały, a inaczej na ziemi nietkniętej. Tam praca prawidłowa, spokojna, tu mozolne karczowanie puszcz, pierwotnych lasów.

W Radgoszczy wprawdzie już były misye i to dwukrotnie. Raz byli OO. Jezuici, ale bardzo dawno, tak, że tylko starzy to jeszcze pamiętają, a potem OO. Redemptoryści z O. Bernardem Łubieńskim przed 11 czy 12 laty. Ale i po tej ślady ledwie we wspomnieniach pozostały.

Trochę nas dziwiło, gdy proboszcz miejscowy, ks. Fr. Górski zażądał aż 4 misyonarzy i gdy w lapidarnych słowach określał wady zakorzenione w parafii. Z każdego słowa jego było widać, że gotuje się do walnej rozprawy, że chce, by ta misya stała się rozstrzygającą kampanią. Zdawało się nam zrazu, że zbyt ostro sądzi swoje owieczki, uważaliśmy jego sąd za zwykłą przesadę człowieka, który chce dużo zrobić dla dobra ludu i dlatego zbyt wygórowane ma wymagania od niego. W czasie misyi mieliśmy się przekonać, jak słusznemi były słowa pasterza, że na ugór, na rolę zaniedbaną przybyliśmy.

Misya trwała pełny tydzień od 20—28 sierpnia. Przyjechaliśmy, ks. Dudek, ks. Bieniasz i ja, już w sobotę 19 sier-

pnia, do Dąbrowy, a stąd po piaszczystych drogach przez Nieczajnę, Kaczówkę i Żdżary do Radgoszczy wozem, o godzinie 7 w wieczór. Nazajutrz, w czasie sumy rozpoczęła się misya. Ks. Superyor Krzyszkowski przyjechał w sukurs z Odporyszowa w poniedziałek rano. A jak bardzo potrzebnym był wśród nas tak wytrawny znawca ludu, przekonaliśmy się wszyscy niejednokrotnie w następnych dniach.

Już samo położenie geograficzne Radoszczy jest tego rodzaju, że z tej bardzo dużej wsi robi kąt zapadły. Daleko do kolei, daleko do miast, do Dąbrowy, Radomyśla, Szczucina, a czego nie robi odległość, uzupełnia trudność komunikacyi, z powodu bardzo złych, piaszczystyh dróg. Piaski tu wszędzie takie, jak w Odporyszowie. Dojazd mozolny. Z szerokiego świata nikt tu nie zagląda. Stąd też pewna patryarchalność i prymitywność stosunków. Wielu wprawdzie poszukuje chleba i grosza za granicą i za morzem, ale znajdą się w niemniejszej ilości i tacy, którzy kolei jeszcze nie widzieli i Tarnów za największe i najpiękniejsze miasto uważają. Za to tem chętniej pielgrzymują do miejsc cudownych, zwłaszcza do Odporyszowa i Tuchowa. Nie mało do podtrzymania pierwotności przyczynia się lichy stan szkolnictwa tutejszego. Na tak dużą parafię, jak Radoszcz (4000 parafian), tylko dwie szkoły o 3 czy 4 siłach nauczycielskich, to zapewne za mało. To też i przymus szkolny niemożliwy i naprawdę wcale nie istnieje. Jest zresztą taksamo w całej okolicy, a jeszcze z tej i z tamtej strony słychać, że mazur i tak jest nadto przemądrzały, to i lepiej, że mniej szkół. Że przemądrzały, czasem chytry, czasem niedowierzający, bity, to prawda; spryt naturalny, dowcip i przebiegłość wrodzona, nie dadzą mu utonąć, i w największych opresyach da sobie radę; ale oświaty, szkoły to nie zastąpi. Nic też dziwnego, że nieodłączni towarzysze ciemnoty znaleźli tu gościnę, gusła, uroki, zabobony, wróżby i t. d. Zabawne nieraz, często monstrualne są ich praktyki zabobonne, ale smutne tem, że spełnia się je prawie zawsze, z przydawką praktyk religijnych, dla

okrasy. Opowiadają sobie też legendy, że w południowo-zachodniej stronie od Radgoszczy, w Żdżarach, w lesie jest staw, z którego czasem po zachodzie słońca słychać odgłosy dzwonów. Zapadł się tu kościół z powodu jakiejś zbrodni, we wsi dokonanej. Już kilka razy wędka lub niewód rybaka zahaczyły o krzyż wieży, już ten i ów próbował wyciągnąć kościół z głębiny, ale nie udało się. Uda się dopiero wtedy, gdy z pośród ludu tej wsi wyświęcą pierwszego księdza. — A oni cieszą się, bo mają obecnie już w seminaryum w Tarnowie kleryka, na drugim kursie.

Ale postęp czy nowinki przekraczają i mur chiński. Nie obawiają się też dróg piaszczystych i po nich trafiają do chałup radgoskich. Czas wyborów, to żniwo dla nich. Są i tutaj domorośli politycy, oczywiście ze szkoły Bojki i Stapińskiego. Swojego czasu, gdy wrzało w dyecezyi tarnowskiej, z powodu ludowców, istniało i tu gniazdo rozpolitykowanych, zapamiętałych stronników Stapińskiego, a „Przyjaciel ludu" był ich ewangelią. Dziś przynależność do ludowców i prenumerata „Przyjaciela" już nie stanowią „casus belli", ale polityka Bojków tchnęła w lud drugą duszę i „dwie dusze" żyją w nim, wzajemna nieufność trwa dalej. W polityce chłopskiej punktem wrzenia są zawsze wybory, a wiadomo, szczególniej po doświadczeniach z ostatnich wyborów, jak strasznie zdeprawowaną z nich wychodzi ta lepsza dusza chłopska. — My jednakże nie przybyliśmy do parafii po to, by politykę uprawiać, lecz tylko, by pracować nad ludem i prostować, co deprawacya wypaczyła.

Miała ona i inne źródła i objawy.

Pieniactwo i pijaństwo podkreślił ks. proboszcz, gdyśmy się informowali o stanie moralnym parafii. Zaciętość leży w naturze mazura. Gdy krzywdy dozna, gdy na honor mu kto nadepnie, kawał miedzy zaorze, przykre, ubliżające słowo rzuci lub dotkliwie zaszydzi, to w nim zawsze zakipi krew, gotów do doraźnej, gwałtownej zemsty; a gdy jej wykonać nie może, zacina się i w Dąbrowie po sądach będzie się włóczył, dopóki przeciwnika „rozumu nie nauczy". Dni i ty-

godnie całe marnuje, adwokata zapłaci, koszta sobie robi, a nie przebaczy. Szaleje ze złości, pieni się, rujnuje siebie, bo drugiemu zemstę poprzysiągł, chce go na dziada sprocesować. A przegra raz, to na nowo skarży, nowym procesem ściga sąsiada. Zawołani pieniacze. W całej okolicy grasuje ta plaga; w żadnej wsi sąsiedniej, czy w Zgórsku, Oleśnie, Otfinowie, czy w Odporyszowie i Luszowicach proceśników nie brak, ale ogólna opinia Radgoszczanom odstępuje pierwszeństwo. Trudno nawet wyobrazić sobie, jaka zawziętość, jaka wściekłość, jak głęboko zakorzenione pieniactwo. O lada głupstwo się skarżą i po sądach włóczą: kura wejdzie na cudzą grzędę, dzieci się pobiją, kobiety się pokłócą, padnie ubliżające słówko, już to dla nich starczy, już jest powód do procesów. Potrafią się sądzić o gołębie przez kilka lat i rekursy wnosić przeciw wyrokom, a po latach pokazało się, że gołębia wcale nie było. — Pokłóci się pasierb z macochą, opuszcza dom i macochę skarży. Domaga się odszkodowania, bo tyle i tyle lat w domu pracował; zapłaty żąda za tę pracę. Rzeczy na całym świecie niesłychane: syn matkę skarży, żona z mężem się procesuje, rodzice z synami i z córkami. Dosyć powiedzieć, że są tacy, którzy po kilkanaście i kilkadziesiąt procesów już mieli, a pokazywano nam bohatera, który ich miał 80.

To też wszystkie pociski naszej misyi koncentrowały się na tym grzechu i niemal każde kazanie nasze brzmiało refrenem katońskim: ceterum censeo, wymierzonym przeciwko pieniaczom. Powiedziano, że „radix omnium malorum est cupiditas“ (1 Tim. VI. 10); tu źródłem wszelkiej nędzy moralnej i materyalnej jest pieniactwo. I gdyby jakiś odrębny katechizm ułożyć dla Radgoszczy, to grzechów głównych nie należałoby wymieniać: 1. pycha, 2. łakomstwo, 3. i t. d., ale 1. pieniactwo, 2. pycha i t. d. Dużo jest, bardzo dużo i innych grzechów, bo przecież i Radgoszczanie są ludźmi, „ab infantia“ skłonnymi do złego, ale najbardziej pod względem nadprzyrodzonym unieszczęśliwia ich ten nałóg, odziedziczony po ojcach i dziadach, i on to sprawił, że największe

i pierwsze przykazanie i tamto temu podobne są nieznane, a przynajmniej nikt się niemi nie krępował. — Nawoływaliśmy, by niedzielę i święta szanowali, by dzieci nie używali do posług, lecz posyłali do szkoły, by w domu zarzucili zabobonne praktyki, a poza domem, na obczyźnie nie zatracali wiary ojców swoich; błagaliśmy, by pijaństwa się strzegli, trwali wiernie w obowiązkach stanu, a głębiej wnikali w życie z łaski; zalecaliśmy też gorąco w myśl najnowszych rozporządzeń Ojca św. częstą Komunię św., ale najsilniej zwalczaliśmy najgłówniejszy występek.

Walną kampanię stoczył ks. Superyor Krzyszkowski. Zna naturę chłopa na wskróś. Trzeba zatem było widzieć, jak słuchali i patrzeli. Wszystko, co mówił kaznodzieja, odbijało się na twarzach słuchaczy. Raz smucili się tem, co słyszeli, to znowu uśmiech błyszczał w ich oczach, to spuszają głowy zawstydzeni; czasem z dumą się prostują, czasem zamyślą się głęboko i usta otworzą, a niekiedy aż chrząkną, bo dostali gorzką pigułkę, ale dowcipnie owiniętą. Doskonale go zrozumieli.

Gromadnie przychodzili na plebanię wytaczać swoje sprawy. Wielu gniewników się pogodziło, wielu poszło do Dąbrowy cofnąć swoją skargę, wielu darowało znaczne nawet szkody. Wszyscy przyrzekali, że już odtąd nigdy nie będą się „prawować", ale polubownie załatwiać chcą swoje spory lub do księdza proboszcza z niemi się odnosić. Wahali się jeszcze niektórzy. Na tych łaska nawrócenia czekała gdzieindziej: w modlitwie wspólnej. Wieczorem bowiem, gdy już wszystko we wsi się uspokoiło, gdy cisza i ciemności zalegly i wszyscy już się gotowali do spoczynku, odzywał się wielki dzwon i ponurym głosem jęczał, wzywał do modlitwy o nawrócenie grzeszników.

Mieliśmy wiele pracy w Radgoszczy (2700 spowiedzi, wszyscy też ślubowali), ale więcej jeszcze pociechy.

Ks. W. Szymbor.

Z dziejów Domu Stradomskiego.

I. Fundacya ks. Biskupa Małachowskiego.

3.

Wielkie przykrości spadły w tym czasie na Misyonarzy stradomskich z powodu misyj.

Ks. de Monteils wybrał się był właśnie, na życzenie ks. Biskupa, wraz z trzema konfratrami na misyę do Bodzantyna.

Nie było wtenczas tamtejszego księdza prepozyta w domu. Wiedzieli o tem nasi i donieśli Biskupowi z prośbą o radę. Odpisał, że sam zawiadomi ks. proboszcza — ale zapomniał o tem. Gdy więc Misyonarze przybyli i chcieli rozpocząć misye, zastępca proboszcza robił trudności, ustąpił jednak na widok mandatu biskupiego, jaki Misyonarze zawsze biorą z sobą.

Miejscowy kaznodzieja wszakże nie chciał pomimo to wpuścić ich na ambonę. Wreszcie i on przestał robić trudności, pokonany ich łagodnością i cierpliwością.

Pomimo to wysłali obydwaj umyślnego posłańca do prepozyta z doniesieniem o zaczęciu misyi. Z przykrością przyjął tę wiadomość i wyraził swój żal wobec prepozyta kieleckiego, że Misyonarze zapuścili sierp na obce zagony.

Ponieważ proboszcz kielecki już od dłuższego czasu był źle usposobiony dla nas, pod wpływem więc tego wypadku zaczął działać przeciwko Misyonarzom nietylko w Kielcach, ale i w Krakowie. Pisał do kapituły krakowskiej, że Misyonarze bez pozwolenia bodzantyńskiego proboszcza zaczęli misye w jego kościele, że miewają codzień kazania,

a miejscowy kaznodzieja musi milczeć, że odkładają penitentom rozgrzeszenie na długi czas, że odwlekają Komunię św. do dwóch tygodni i dłużej. Te i inne jeszcze zarzuty podnosił, nalegając na kapitułę, aby wysłała delegata swego do Biskupa i skłoniła go do wydania zakazu wprowadzania podobnych nowości do dyecezyi, a zwłaszcza żeby zabronił zaczynać misyi pod nieobecność proboszcza.

Ostrzegł o tem Misyonarzy pewien przyjaciel Zgromadzenia. Nasi spodziewali się, że ta burza wnet przeminie i pójdzie w zapomnienie. Zawiedli się jednakże, gdyż rzeczy pogarszały się coraz bardziej przez ich milczenie i pokorę. Wielu znakomitych członków kapituły stało za prepozytem kieleckim.

Wreszcie Książę-Biskup napisał list do ks. de Monteils, polecając mu, aby przedłożył kapitule memoryał o sposobie odprawiania misyi, którego się trzymają księża Misyonarze.

Po naradzie z konfratrami ułożył ks. de Monteils żądane sprawozdanie i posłał je Biskupowi do Kielc, a także dał egzemplarze znakomitszym kanonikom.

Kronika podaje tekst tego sprawozdania, które pozwala nam dokładnie poznać system odprawiania misyi, jakiego trzymali się konfratrzy w początkach naszego Zgromadzenia, a który niezawodnie rozwinął się pod okiem św. Wincentego.

Oto tekst tego sprawozdania:

„Krótka informacya o Zgromadzeniu K. Ks. Misyonarzy i ich zajęciach. — Zgromadzenie Księży Misyonarzy powstało we Francyi i otrzymało potwierdzenie od Papieża Urbana VIII. i Aleksandra VII. Rozszerzone już po różnych miastach włoskich, zaczyna się szerzyć w Polsce i na Litwie. Kapłani tej Kongregacyi żyją wspólnie i zależą od przełożonego generalnego. Ale na mocy erekcyi zaliczają się do kleru świeckiego, a podlegają Ordynaryuszom miejscowym tych dyecezyi, w których są domy Zgromadzenia, co do misyi, dyrek-

cyi seminaryów i innych funkcyj duchownych, odnoszących się do zbawienia wiernych.

„Kapłani tej Kongregacyi mają dwa zadania: najpierw zwiedzać miasta i wioski, aby w nich przez katechizmy i kazania łamać chleb słowa Bożego maluczkim, radzić i przyjmować spowiedź generalną z całego życia, łagodzić kłótnie i spory; a powtóre na mocy swego instytutu powinni Misyonarze kierować seminaryami kleryków, w nich nauczać, dawać rekolekcye, zwoływać konferencye świeckiego duchowieństwa i niemi kierować, a wreszcie podejmować także inne zadania do tych celów prowadzące.

„I rzeczywiście od samego początku Zgromadzenia spełniają Misyonarze te funkcye, nietylko we Francyi, lecz także w Rzymie i w innych stronach Włoch, gdzie mają swoje fundacye. Z rozkazu Ojca św. odbywają misye w okolicach Rzymu prawie przez cały rok, z tak wielkim pożytkiem, że różni książęta, Kardynałowie i Biskupi, zachęceni pożytkiem misyi, założyli liczne domy dla Misyonarzy. W Rzymie zaś nie dopuszczają nikogo do święceń, kto się do nich nie przysposobił rekolekcyami odbytemi w domu księży Misyonarzy; co Papież pod karą suspenzy, ad beneplacitum S. Sedis zastrzeżonej, nakazał wszystkim bez wyjątku ordynandom [1]).

„Ś. p. najjaśniejsza królowa polska Ludwika Marya Gonzaga, powodowana gorliwościa o chwałę Bożą i zbawienie swego ludu, przyzwała do Polski kapłanów rzeczonego Zgromadzenia i ufundowała w Warszawie, aby mogli pracować w dyecezyi poznańskiej. Zmarły w Panu sławnej pamięci Andrzej Trzebicki, książę Biskup krakowski, którego pamięć na wieki będzie w błogosławieństwie, za przykładem najpobożniejszej monarchini, postanowił ufundować też Kongregacyę w Krakowie u św. Rocha, a to w tym celu, aby na

---

[1]) Aleksander VII. „Apostolica sollicitudo" 7. Augusti 1662. Innocenty XI., wreszcie dekr. S. C. ep. et reg. 9. Octobris 1682. Innocenty XII. dekr. S. C. ep. et reg. 1. Febr. 1700.

wzór tego, co się działo w Rzymie, również i w tej ogromnej dyecezyi misye odprawiać się mogły. Lecz temu zbożnemu pragnieniu Biskupa, nie stało się zadość, dla braku pracowników [1]).

„Aż wreszcie obecny Najprzewielebniejszy Książę Biskup krakowski, przypatrzywszy się dokładnie owocom, jakie kler odnosi z kierownictwa księży Misyonarzy w seminaryach, a lud z ich misyi, ufundował Misyonarzy najpierw w Chełmnie, a przeniesiony na stolicę krakowską, powierzył im seminaryum Zamkowe oraz misye w tej rozległej dyecezyi.

„Sposób zaś, którego się trzymają Misyonarze przy odprawianiu misyi, jest następujący. Mają przedewszystkiem zawsze polecenie odprawiania misyi i pisany mandat Biskupa, który pokazują proboszczom, a względnie innym przełożonym kościoła. Na początku i na końcu misyi proszą proboszczów lub ich zastępców o błogosławieństwo i nie przedsiębiorą nic ważniejszego bez ich wiedzy i wbrew ich woli Ogłaszają odpust zupełny, jaki Papieże udzielili uczestnikom misyi. Odpust ten można zyskać przez cały czas trwania misyi, jak się okazuje z brewe papieskiego.

„Za wzorem św. Pawła, który nie chcąc nikomu być ciężarem we dnie i w nocy pracował własnemi rękami, Misyonarze nikomu nie są ciężarem w czasie misyi, sprawują swe funkcye darmo i bez żadnej zapłaty lub utrzymania doczesnego, a nawet dobrowolnych datków nie przyjmują“. Misya trwa tak długo, jak tego wymaga miejscowa potrzeba. We Włoszech przeciąga się niekiedy do 5 tygodni, bo tam miasta są duże; w Polsce zaś gdzie lud mniej liczny, misya trwa od 2—4 tygodni.

---

[1]) Ks. Wdowicki (Hist. Zgrom. księży Mis., str. 85) powiada, że nietylko brak kapłanów, lecz i to także, że Biskup Trzebicki nie był za osiedleniem się Misyonarzy w Krakowie, jak pisał ks. Desdames, który za tą sprawą jeździł do Krakowa (L e t t r e s IV. 289), spowodowało niedojście fundacyi.

„W czasie misyi miewają Misyonarze przynajmniej jedno kazanie na dzień, a jeżeli się zbierze lud we większej liczbie, zwłaszcza w dni świąteczne, to każą dwa razy. Prócz tego jest codzień nauka chrześcijańska o głównych tajemnicach wiary, w godzinach dla ludu dogodnych. Kazania traktują o rzeczach ostatecznych, pokucie, przykazaniach, Sakramentach, o cnotach i wadach i o innych rzeczach ludowi potrzebnych.

„Zachęcają wiernych do spowiedzi z całego życia nie dlatego, jakoby taka spowiedź wszystkim była potrzebna, ale, jak uczy św. Franciszek Salezy, wszystkim jest pożyteczna, a niektórym konieczna. Misyonarze przez pierwsze 3 lub 4 dni nie słuchają spowiedzi, lecz pouczają lud, jak należy się do niej przygotować, bo niekiedy mniej oświeceni, nie wiedzą, jakie są warunki dobrej spowiedzi.

„Komunii św. nie udzielają zaraz, lecz wyznaczają jeden dzień na wspólną Komunię św. Tak postępują nietylko Misyonarze we Włoszech i gdzieindziej, lecz także i Jezuici, którzy w Rzymie odbywają misye pod okiem Papieża, Kardynałów i Biskupów. Powody, dla których Misyonarze penitentów nie zaraz dopuszczają do Stołu Pańskiego, są następujące: Najpierw dlatego, że lud się lepiej do Komunii św. przysposobi, staje się ostrożniejszym i gorliwszym, przez wzgląd na przyszłą Komunię św. Powtóre, gdyby zaraz wierni ją otrzymali, przestaliby chodzić poźniej na kazania i w ten sposób udaremniliby zamiary Papieża, który dlatego nakazał odprawiać misye, aby lud nauczyć, i dla zachęty nadał odpust zupełny. Po trzecie, przez odłożenie Komunii św. mają penitenci czas usunąć złe okazye, poprawić grzeszne, zastarzałe nałogi, pooddawać kradzione rzeczy, pojednać się z nieprzyjaciółmi i wykonać owoce prawdziwej pokuty. Wreszcie, co najważniejsze, niejednokrotnie trzeba odłożyć rozgrzeszenie penitentom, w myśl św. kanonów i nauki Ojców, jak to zaznaczył i czynić polecił św. Karol Boromeusz. Gdyby więc zaraz po spowiedzi udzielano Komunii św., dałoby się przez to dużo okazyi do

podejrzeń i niesławy, gdyby ktoś nie przystąpił do Stołu Pańskiego, podczas, gdy inni przystąpili. Dla tych wszystkich powodów zdaje się, że słusznie odkłada się Komunię św. na jeden dzień, w którym po Mszy św. i gorącej przemowie na temat godnej Komunii, po aktach wiary, nadziei i miłości, dzieli się lud na dwa szeregi i w największym porządku udziela się Komunii św. Przed Komunią odbywa się wzajemne pojednanie. — Poza tem chociaż dla ogółu uczestników misyi odkłada się Komunię św., w wyjątkowych jednak wypadkach przypuszczają Misyonarze do Stołu Pańskiego zaraz po spowiedzi, jakoto osoby chore, niewiasty brzemienne, starców, podróżnych, słowem wszystkich nie mogących czekać na dzień wspólnej Komunii św.

„Najświętszy Sakrament nie jest wystawiony w czasie misyi, lecz tylko na jej zakończenie, z polecenia Ordynaryusza i za zgodą proboszcza. Wtedy też odbywa się uroczysta procesya *cum Sanctissimo* wokoło kościoła lub na placu odpowiednim w pobliżu, na wzór procesyi Bożego Ciała. W niej uczestniczą wszyscy wierni, podzieleni według stanów. Te procesye odbywają się najokazalej we Włoszech.

„Gorącą zachętą do wytrwałości w dobrem zamyka się misyę.

„Oto sposób odprawiania misyi, jakiego trzymają się Misyonarze także i w Polsce".

Kapituła krakowska na osobnej sesyi odczytała ten memoryał i uchwaliła napisać do prepozyta kieleckiego, żeby Misyonarzom dał spokój. To samo uczynił Biskup w liście do kanoników kieleckich. Odtąd prepozyt nie przeszkadzał misyom.

4.

Jak poprzednio powiedzieliśmy, otrzymali konfratrzy ze Zamku od ks. kanonika Kazimierza Mikołaja Czartoryskiego starą cegielnię wraz z domkiem. Książę Czartoryski podarował go ks. Godquin, obowiązując Misyonarzy do jednej

Mszy św co tydzień. Prawo do tej realności mieli wspólnie z ks. kanonikiem także dwaj jego bracia i siostra. Kanonik przyrzekł, że u swego rodzeństwa wyjedna cesyę praw. Jeden z braci dał nawet piśmienne oświadczenie, że we właściwym czasie zrobi cesyę na rzecz Misyonarzy. Najmłodszy zaś z braci nie miał jeszcze lat przepisanych do uczynienia tego aktu prawnego. Księżna ich macocha przyrzekła nakłonić swych pasierbów do tego zapisu.

Księża Misyonarze jednak zanadto ufali słownym obietnicom i nie zaintabulowali swych praw w księgach urzędowych. Z tego skorzystali OO. Paulini ze Skałki, którzy mieli wielką ochotę na tę realność i ubolewali nad tem, że się dostała Misyonarzom. Zwrócili się więc do księżnej, która ich łaskawie przyjęła i przyrzekła poprzeć, bo była obrażona na jednego z naszych kofratrów ze Zamku, mianowicie na ks. Monmejean.

Powodem do gniewu księżnej był fakt następujący. W starostwie lanckorońskiem posiadał pewien Francuz sołtystwo, które chciał sprzedać za pośrednictwem ks. Monmejean. Do kupna zgłosił się ktoś ze szlachty, a nadto ks. Monmejean proponował także księżnie Czartoryskiej nabycie tego sołtystwa. Ponieważ jednak nie chciała dać oznaczonej ceny, sprzedał je owemu szlachcicowi, a kiężna powzięła niechęć do Misyonarzy.

Owocem tej niechęci było to, że jeden z książąt wniósł protest przeciw darowiźnie cegielni Misyonarzom. Nasi nie zważali na protest, aż OO. Paulini otrzymali darowiznę cegielni od obu książąt i ich siostry. Na wieść o tem, ks. Monmejean starał się wszelkimi sposobami nie dopuścić OO. Paulinów do objęcia w posiadanie tego gruntu. Drzwi domu zamknął i postawił kleryków na straży. Lecz książę kazał swej służbie dom otworzyć, a wdowę wraz z dziećmi, która dotąd w domu mieszkała, wyrzucić. Odtąd Paulini strzegli domu przez kilka tygodni, we dnie i nocy.

Wszystko to stało się pod nieobecność ks. de Monteils. Gdy wrócił, próbował stratę odzyskać. Za pośrednictwem księży Pinkowskiego i Szembeka, starał się o ugodę z Paulinami. W końcu doprowadził do tego, że ci Ojcowie zgodzili się odstąpić nam czwartą część tego gruntu, przypadającą na ks. kanonika Czartoryskiego, a pozostałe trzy części mieli sami zatrzymać. Lecz gdy miało przyjść do podziału, nie chcieli nic ustąpić.

Do Krakowa przybył w tym czasie na pierwszą wizytę nowo zamianowany wizytator, ks. Bartłomiej Tarło. W czasie wizytacyi Domu Stradomskiego (od 27-go lipca do 6-go sierpnia 1687) zalecił odbywać pilnie misye, prosić o błogosławieństwo proboszczów na początku i na końcu misyi. W domu zachęcił do skupienia. Wreszcie, jeśli Boska Opatrzność powierzy nam ordynandów, trzeba ich traktować pokornie i uprzejmie. Superyorowi zaś polecił, aby o ile możności jak najprędzej przygotował każdemu konfratrowi osobny pokoik, bo widocznie dotąd tego nie uskuteczniono w niedogodnym domku. Obok furty kazał zbudować drugą jeszcze bramę, poza którą niewolno wpuszczać osób żeńskich. Zalecił też dokładnie opisać początki fundacyi domu i zanotować misye.

Ks. de Monteils skorzystał z obecności ks. Wizytatora, by znowu podjąć kwestyę kupna pałacyku Wielopolskich. Rzecz jednakże przedstawiała wiele trudności, nawet ze strony niektórych konfratrów, którzy doradzali zbudować dom specyalnie obmyślany dla nas, i to nad Wisłą, między dwoma sadzawkami. Na naradzie przedłożył Ks. de Monteils swoje argumenta i zwyciężył. Wskazywał najpierw na niedogodności połączone z wybudowaniem domu nad Wisłą. Grozi tam zawsze niebezpieczeństwo wylewu, w czasie takiej klęski nawet ruszyć się nie można z domu, bo wszelki dostęp jest odcięty. Przytem dom byłby bardzo wilgotny, chociażby się wybudowało groblę zabezpieczającą od wylewu Wisły. Nie możnaby budować piwnic z powodu wody podskórnej. Dalej dom taki byłby bardzo odległy od

ulicy Stradomskiej, wymagałby więc zawsze większej liczby odźwiernych, a przybywający musieliby przechodzić przez ogród, dom zatem nie byłby dostatecznie odosobniony. Prócz tego mieszkańcy pałacu Wielkopolskich mieliby nas zawsze na oku. Te i inne jeszcze powody skłoniły konfratrów do decyzyi kupienia pałacyku.

Nie łatwo jednak było z kanclerzem. O ile bowiem dawniej sam proponował zamianę, teraz żądał nadto, oprócz domu w Warszawie, całego gruntu, gdzie nasi mieli swoje gospodarstwo. Pomimo tak wygórowanych warunków godzili się konfratrzy na żądanie kanclerza i chcieli mu nietylko dom, lecz i grunt odstąpić w Warszawie, żeby tylko dostać pałacyk na Stradomiu. Między powodami skłaniającymi Misyonarzy do tego kroku było i to także, że ów żądany grunt pochodził właśnie drogą darowizny od kanclerza. Doszło więc do ugody i przyrzeczeń. Umówiono się też z Drozdowskim, zarządcą pałacyku Wielopolskich na Stradomiu, co do niektórych budynków gospodarskich.

Po układach wyjechał ks. wizytator Tarło z ks. de Monteils do Kielc, aby złożyć uszanowanie ks. Biskupowi. Przyjął ich bardzo serdecznie i gdy mu przedłożyli całą sprawę, pochwalił projekt i dał ks. Wizytatorowi 2.000 złotych polskich, w myśl dawniejszych swych obietnic. Z Kielc wrócił ks. de Monteils do Krakowa, a ks. Tarło wyjechał do Warszawy, gdzie dalej konferował z kanclerzem i pisał do Rzymu o pozwolenie papieskie na alienacyę.

Nadspodziewanie prędko pokazało się, że ks. de Monteils słusznie obawiał się zalewu Wisły. W uroczystość Narodzenia Matki Boskiej 1687 roku Wisła wylała i zniszczyła wszystkie jarzyny w naszym ogrodzie. Oprócz tej straty ponieśli Misyonarze jeszcze inne. Mianowicie w cegielni od p. Skarczewskiego podarowanej mieli większą ilość wapna wypalonego, którego część chcieli wysłać właśnie Wisłą do Warszawy, na sześciu „poręczach“, bo chciano budować nowy dom po odstąpieniu „Małego Seminaryum“ Wielopolskiemu. Już drzewo na budowanie ga-

larów było właśnie przygotowane, gdy nastały wielkie deszcze, które ludziom nie dały pracować, pomimo, że brat Ludwik przykładem swoim ich zachęcał. Groziło niebezpieczeństwo, że stracimy wszystko drzewo wartości 2.000 zł. Ale z trudem je uratowano. Wapno wysłano na trzech galarach, lecz gdy doszło do Warszawy pokazało się całkiem zniszczonem. Wisła weszła do ogrodu od strony kościoła św. Sebastyana i uniosła dużo ziemi urodzajnej do sadzawki. Żeby temu na przyszłość zaradzić, usypano groblę od strony św. Sebastyana i od Wisły, czego dokonano w następnym roku.

W czasie tego potopu przybyli nowi konfratrzy na Stradom. Ks. O'Fogerti i ks. Fijałkowski, bo ks. Bojanowski udał się do Warszawy dla nadzorowania transportu wapna. Potem już nie wrócił, lecz udał się na stały pobyt do Chełmna. A ks. Freder przeznaczony został do nowo założonego domu w Przemyślu. W tym bowiem roku (1687) powierzył Misyonarzom Biskup Jan Stanisław Zbąski tamtejsze Seminaryum duchowne. Miało tam być trzech księży i dwóch braci [1]).

Około uroczystości Podwyższenia św. Krzyża udali się konfratrzy stradomscy na misye do Iłży, a potem do Jastrzębia i Kunowa. Pomagał im ks. Desdames, prefekt ze Zamku. Pod koniec misyi w Kunowie przysłali konfratrzy ze Zamku list do ks. de Monteils, donosząc o nowej okazyi nabycia majątku dla Stradomia.

Mianowicie p. Stasicki chciał sprzedać swe dobra na Ślązku za 4.000 złotych polskich. Konfratrzy zachęcali do skorzystania z okazyi, żeby zaopatrzyć dom stałym dochodem. Ale nastręczały się dwie trudności. Pierwszą była kwestya, czy książe Biskup zechce dać potrzebny nakład, a drugą była trudność polityczna. Ślązk bowiem był pod panowaniem austryackiem i nie było pewnem, czy Misyonarzom pozwolą się tam osiedlić. Ponieważ Misyonarze mają

[1]) Mémoires de la Congr. de la Mission, tom I., str. 167 i nast.

swego przełożonego generalnego w Paryżu, a Francuzom Austryacy byli nieprzychylni, z powodu wrogiej polityki Ludwika XIV. przeciw Habsburgom, nie wiele więc było nadziei zyskania pozwolenia. Lecz mimo wszystkie trudności nie chciał ks. Monteils stracić żadnej okazyi zdobycia materyalnej podstawy dla domu Stradomskiego. Poleciwszy zatem sprawę Panu Bogu i św. Patronom zostawił swych trzech konfratrów w Kunowie, a sam udał się do Biskupa do Bodzantyna.

Stanął tam w wigilię Ofiarowania Matki Boskiej (20-go listopada 1687). Przedkładał Biskupowi, że gdyby się udało kupić majątek na korzyść domu Stradomskiego, Misyonarze nie byliby zmuszeni tak często naprzykrzać się ks. Biskupowi o wsparcie. Na to odrzekł Biskup, że wybiera się na sejm do Grodna [1]) i potrzebuje 60.000 złotych polskich gotówki na wydatki, a nie wie skąd je wziąć. Lecz ks. de Monteils w końcu przekonał go, a Biskup przyrzekł dawać co rok 2.000 złotych polskich. Przy takim zasiłku nie można było myśleć o jakiemkolwiek większem kupnie. Ze smutkiem więc odszedł ks. de Monteils, ale o sprawie nie zwątpił. Pozostał w Bodzantynie do następnego dnia. Odprawiwszy Mszę. św., czekał na księcia Biskupa, który miał celebrować. Po Mszy św. zabrał go Biskup do pałacu, a w drodze wypytywał go, jak się wiedzie misya w Kunowie. Przybywszy do pałacu oddalił służbę i rzekł do niego: Dzisiejszy dzień jest dla mnie dniem łaski, bo to dzień Przenajświętszej Panny, w którym moje zakonnice [2]) odnawiają śluby, i ja także moje względem ciebie, mój księże, odnowiłem i przyrzekam kupić tę wieś, na co masz 50 000 złotych polskich. Nie wątpię zaś, że jest to wola Boża, bom tej nocy postanowił sobie: Jeżeli ks. de Monteils powrócił do Kunowa, niema woli Bożej, abym mu miał dać pieniądze. Jeżeli zaś został i powtórnie mnie będzie prosił, będzie to

[1]) Odbył się 1688 w lutym i marcu.

[2]) SS. Wizytki, które Biskup Małachowski ufundował w Krakowie.

znakiem woli Boskiej, żeby mu nie odmawiać. Na to odrzekł mu ks. de Monteils, że rzeczywiście postanowił wracać na misyę, ale wstąpiwszy do kościoła, aby swą podróż Bogu polecić, miał jakby natchnienie, żeby poczekać do dnia następnego i powtórzyć prośbę. Wszystko zaś przypisywał modlitwom ludu, któremu polecił swą sprawę odjeżdżając z Kunowa.

Mając taką deklaracyę Biskupa, napisał do ks. Monmejeana, aby nawiązał układy ze Stasickim, co do kupna jego wsi na Ślązku. Napisali także do Wiednia podanie o indygenat, ale odpowiedź nie była stanowcza. Dlatego ks. de Monteils po odprawieniu misyi w Siennej, udał się do Warszawy, aby się naradzić z ks. Wizytatorem. Skutkiem tej narady było wyprawienie ks. Fabri do Wrocławia.

Sądzili, że łatwej Niemcy dadzą pozwolenie Włochowi. Ale i on nic nie skórał u senatu wrocławskiego, tak, że trzeba było zupełnie tę sprawę poniechać. Tymczasem nadszedł z Rzymu reskrypt papieski upoważniający Biskupów krakowskiego i poznańskiego do przeprowadzenia zamiany pałacu kanclerza Wielopolskiego na Stradomiu za nasze Małe Seminaryum w Warszawie. Lecz teraz kanclerz nie chciał tej sprawy załatwić, będąc blizkim śmierci· Skutkiem tego cała sprawa odwlekła się na czas późniejszy.

Gdy kupno majątku na Ślązku się nie udało, zaczęli konfratrzy szukać w kraju sposobności kupna. Nadarzało się kupno wsi zwanej Laskową z wielkim obszarem gruntu. Ks. Fiałkowski pojechał ją oglądnąć. Rewizya wypadła w zimie i wieś wcale mu się nie podobała. Zaczęto więc brać pod uwagę inne majątki, a zwłaszcza wieś Olszowice pod Krakowem, z drugiej strony Wisły. Mimo, że to mała wioska, ale że blizko Krakówa, zgodzili się nasi konfratrzy dać za nią właścicielowi, Ujejskiemu, około 30.000 złotych polskich.

W tym czasie umarł prepozyt u św. Sebastyana. Nasi od dawna czynili zabiegi, by dostać ten kościół w posiadanie, jako w sąsiedztwie naszem będący. Na wieść zatem o śmierci prepozyta konfratrzy *ex arce* napisali do ks. de Monteils, bawiącego na misyach, aby przybył tę sprawę popierać u Biskupa. Biskup poparł u mieszczańs twa, mającego prawo patronatu, nasze starania. W końcu jednakże kolatorowie zaprezentowali zakrystyanina kościoła Najświętszej Maryi Panny.

Po ukończeniu misyi w Lubaczycach (10-go czerwca 1688) pojechał ks. de Monteils do Warszawy, bo kanclerz już umarł, a podział jego spadku miał nastąpić około Zielonych Świąt. W tym czasie dał książę Biskup Misyonarzom 25.000 złotych polskich, w myśl poprzedniej obietnicy.

Ks. Fiałkowski pojechał z bratem Ludwikiem do Ujejskiego, bawiącego pod ten czas w Laskowej, aby przyspieszyć kupno Olszowic. Tym razem zobaczył Laskową w lecie i tak mu się spodobała, że napisał do ks. de Monteils do Warszawy, aby poniechać Olszanic, a kupić Laskową.

W Warszawie nic nie sprawił ks. de Monteils, uzyskał zaledwie darowanie drzewa użytego na galary, które wziął był od hr. Wielopolskiego. Przy podziale spuścizny pałac Stradomski dostał się najstarszemu synowi kanclerza, Janowi, który nie chciał słyszeć o sprzedaży. Wnet wszakże zmienił swe postanowienie, bo chcąc się żenić, oglądał się za zdobyciem większej gotówki. Z tego powodu zwrócił się do ks. de Monteils z propozycyą sprzedaży pałacu. Spisano więc kontrakt, w którym Misyonarze dawali 18.000 złotych polskich za wymieniony dom. Z gotowym kontraktem pojechał ks. de Monteils z ks. Fiałkowskim do Kielc do Biskupa, który go zaaprobował i dał potrzebny kapitał.

W drodze powrotnej z Kielc do Krakowa spotkała ich przygoda, grożąca utratą życia. W czasie pospiesznego przejazdu przez wysoki a wązki most runęła pierwsza para koni do wody, skutkiem czego dwa następne konie upadły,

a księża byli w wielkiem niebezpieczeństwie. wpadnięcia razem z wozem do wody. Lecz wszystko skończyło się szczęśliwie.

Gdy ks. de Monteils wrócił, hr. Wielopolski bawił u p. Tarnowskiego, który się oświadczył przeciw sprzedawaniu pałacu Misyonarzom. Skutkiem tego Wielopolski doniósł, że odstępuje od kontraktu. Lecz nasi chcąc raz rzecz załatwić przyrzekli pewną dopłatę.

W oznaczony dzień zebrali się w pałacu rajcy kazimierscy ze swoim konsulem i notaryuszem, nasi konfratrzy z ks. wizytatorem Tarłą, starosta krakowski z Drozdowskim i inni. Niektóry z obecnych zaczęli odwodzić hrabiego od sprzedaży; stawił on więc nowy warunek, jako *condicio sine qua non*, żeby do owych 18.000 dopisać dalsze 6.000 złotych polskich, a to jako wieczystą fundacyę na dwie Msze św. wotywne za jego ojca i za niego. Gdy i ten warunek tak ciężki nasi przyjęli, starali się owi panowie krakowscy podnosić nowe trudności, ale hrabia kontrakt podpisał. Rzecz ta stała się w uroczystość św. Bernarda 20-go sierpnia 1688 roku.

Po załatwieniu sprawy pokazało się, kto właściwie był sprężyną tylu trudności. Mianowicie OO. Jezuici chcieli nabyć ten pałac, dając zań 24.000 złotych polskich. Sami się do tego przyznali, gdy po kupieniu przez nas pałacu przyszli niektórzy ich ojcowie oglądać go, a jeden z nich rzekł: I my też ubiegaliśmy się o to kupno. Jakie mieli powody, różne o tem chodziły wieści Jedni podawali, że chcieli nas nie dopuścić do osiedlenia się w Krakowie, inni znowu, że tego zamiaru wcale nie mieli, lecz chcieli pałac kupić w tym celu, aby Biskupa nakłonić, żeby od Akademii kupił Jezuitom dom św. Jana Kantego, w pobliżu kościoła św. Piotr będący, którego im Akademia nie chciała w żaden sposób sprzedać. Spodziewali się zaś, że Biskup łatwiej to zdoła przeprowadzić, a oni w zamian odstąpią Misyonarzom pałac. Nasi o tych zabiegach nie mieli poprzednio żadnego pojęcia.

Pałac ten był budynkiem jednopiętrowym, o mniejszych oknach na parterze, a znacznie większych na piętrze. Wymagał wiele reparacyi. W ciągu dwu miesięcy urządzono w nim kaplicę i resztę ubikacyi, zwłaszcza że ks. Zebrzydowski, kanonik krakowski, hojnem wsparciem dopomógł. Kaplicę poświęcił ks. kanonik Małachowski, krewny ks. Biskupa, w obecności konfratrów ze Zamku i kilku zacnych gości, między którymi był ks. Mateusz Wolski, komisarz Grobu św., jako nasz sąsiad.

W nowym domu przygotowano miejsce dla ordynandów, bo święcenia miały się odbyć w grudniu; ale wskutek śmierci ks. Biskupa sufragana odbyły się dopiero na św. Trójcę następnego roku.

Ks. F. Bączkowicz.

KRONIKA.

Chiny. *List S. Pauliny Moniak, pisany do ks. Wizytatora z Szangaju, dnia 25 sierpnia b. r.*

Znowu zajmujące „Roczniki" odbierane tak regularnie przypominają mi mój dług wdzięczności, za tę wielką pociechę, którą mi Czcigodny Ojciec tą przesyłką sprawia. Oprócz serdecznego „Bóg zapłać" proszę przyjąć zapewnienie, że zdwajam me modlitwy za ukochaną Prowincyę krakowską i za dzieła, które Opatrzność Boża jej powierza. Chciałabym nadto kilka posłać sprawozdań z Chin; przydadzą się zapewne dla zbudowania i przyjemności Czytelników „Roczników Zgromadzenia". Dowiedzą się oni, jak Najśw. Panna okazuje się dobrą i pełną litości dla tych, co Jej z ufnością wzywają.

Chodzi tu najpierw o podwójną łaskę nawrócenia i uzdrowienia pana Sen-Me-Yuen, który ją zawdzięcza pośrednictwu naszego ukochanego Cudownego medalika. Ten nowo obdarzony łaskami Maryi, ochrzczony dnia 20. maja b. r., jest tu w Szangaju naczelnikiem wielkiej firmy handlowej, poddyrektorem znacznego banku, radcą municypalnym, radcą izby handlowej i administratorem wielu stowarzyszeń. Dawny jego kolega szkolny pan Lo, który swą gorliwością i modlitwą tę łaskę dla niego uzyskał, sam ten fakt opisuje, ja zaś jego opowiadanie po polsku w krótkości podaję. Obaj ukończyli studya z odznaczeniem w protestancko-angielskiem kolegium.

Pan Lo, należy do znakomitej dawnej rodziny chrześcijańskiej, p. Sen był zawsze poganinem. Ten ostatni, choć

cały oddany sprawom swoich urzędów, okazywał się zawsze wspaniałomyślnym, gdy chodziło o dzieła miłosierdzia. Dawał dużo, a zawsze dawał z hojnością. Nigdy niczego nie odmówił Siostrzyczkom ubogich, sam ufundował zakład dla sierot i t. p. Może też to wielkie miłosierdzie wyjednało mu te wielkie łaski.

Razu pewnego spotkał p. Lo swego przyjaciela i prosił go, czyby mu nie zechciał towarzyszyć w pielgrzymce do „Zocé“, która dla niego miała być rozrywką, dla p. Lo i jego rodziny zaś było intencyą wyjednać łaskę nawrócenia drogiego przyjaciela. Podczas podróży, która trwała kilkanaście godzin, opowiadał p. Lo przyjacielowi o Najśw. Pannie z Lourdes, o Cudownym medaliku i o religii chrześcijańskiej. W Zocé p. Sen towarzyszył im wszędzie. W czasie wspólnej drogi krzyżowej, której objaśnienia z uwagą słuchał, został u stóp statuy Maryi Niepokalanej, gdzie modlił się, jak mógł i rozumiał. „Jakież było nasze zdziwienie, powiada p. Lo, gdy wracając z drogi krzyżowej zastaliśmy p. Sen wpatrzonego w obraz Maryi, a u stóp figury napis chiński, który sam ułożył: „Jak słabę dziecię w tej świątyni podziwiałem słodkie rysy mej matki“.

„Z powrotem z pielgrzymki dałem mu Cudowny medalik; nosił go zawieszony u prawej ręki. W kilka dni potem przejeżdżał konno nad brzegiem kanału; wtem koń się spłoszył i zrzucił jeźdzca na ziemię, a raczej do wody. Woda była bardzo głęboka, więc niebezpieczeństwo wielkie. W tej groźnej chwili dosięga prawą ręką cugli konia i wychodzi z niebezpieczeństwa. Ręka, na której był cudowny medalik, ocaliła go z niechybnej śmierci. Uznał to sam jako dziwny znak opieki Najśw. Panny“.

Pan Lo objaśnił przyjacielowi, że otrzyma więcej łask, jeżeli go nosić będzie na szyi, jak sobie Najśw. Panna życzy. Przystał na to. W dniu 27. listopada wziął go z sobą p. Lo do Domu Centralnego na błogosławieństwo i procesyę Dzieci Maryi z pensyonatu „Mères auxiliatrices“, która się tu w tym dniu odbywa. Tu Siostra Wizytatorka dała mu medaliki dla

całej rodziny. Skorzystał p. Lo ze sposobności, mówiąc, że nie powinien się dłużej opierać łasce, która go wzywa do nawrócenia. Odpowiedział, że położenie jego nie pozwala mu o tem myśleć.

W kwietniu b. r. dał mu p. Lo do czytania chiński „Rocznik“ Najśw. Serca Pana Jezusa, w którym były podane nawrócenia kilku mandarynów i innych znacznych osobistości w cesarstwie, i zaprosił go znowu na pielgrzymkę do Zocé. Wymówił się, że kilka ważnych podróży stoi mu na przeszkodzie. Podczas jednej z tych podróży, 8. maja b r., zapadł na niebezpieczną gorączkę, a w dwa dni potem musiał powrócić do Szangaju. Dnia 12. maja pospieszył doń p. Lo, bo mu chodziło o jego duszę. Opowiadał mu p Sen, że ostatniej nocy strasznie cierpiał, ale ma ufność, że Najśw. Panna mu ulży. Starał się p. Lo utwierdzić go w tej zbawiennej ufności, polecając mu powtarzać: „Uzdrowienie chorych, módl się za mną!!“ Chciał, aby go odwieziono do szpitala Najśw. Maryi P., aby tam być pielęgnowanym przez doktora europejskiego. Pan Lo powiedział mu, że lepiejby było, aby zawezwano doktora chińskiego. Dr. Czang oświadczył, że to tyfus. Dnia 13. maja miał się trochę lepiej, to też p. Lo przedsięwziął pielgrzymkę do Zocé, na intencyę swego przyjaciela. Po powrocie donoszą mu, że z p. Sen jest bardzo źle. Doktor twierdzi, że niebezpieczeństwo jest wielkie; to też odwiedziny p. Lo są bardzo częste i korzysta on z każdej sposobności, aby przygotować przyjaciela do dobrej śmierci. Nie przychodzi mu to łatwo. Żona p. Sen, poganka pełna przesądów, sprowadziła „bonzkę“, aby zaklęciami przeszkodziła duszy ujść z ciała, a liczni przyjaciele, wszyscy poganie, otaczają nieustannie chorego. Cóż wię robić w podobnem otoczeniu. Chory zaledwie tyle przytomny, że mu z trudnością myśl jedną podsunąć można. Wreszcie Najśw. Panna przychodzi tu sama z pomocą. Powoli wszyscy wysuwają się z izby, zostaje tylko dwóch przyjaciół p. Lo, obaj poganie. Jeden z nich powiada: „Panie Lo, dlaczego nie prosisz Pana nieba (Tien czu) o zdrowie dla naszego

przyjaciela“? Skorzystał z tego wezwania p. Lo, dał choremu napić się święconej wody z Zocé, a potem cicho, aby nie być słyszanem od obecnych, wyłożył choremu główne zasady wiary i pobudził do skruchy. „Wiem, powiada chory, że Bóg gotów mi odpuścić me grzechy, ale jak mam się o to modlić“? „Tien czu kolien uo“. Powtarza szczerze słowa modlitwy, a zapytany, czy chce być ochrzczonym, powiada: „Jestem zanadto chory, sprawę mej duszy składam w twoje ręce; ale czy nie lepiej z powodu mych stosunków, poczekać ze chrztem aż do chwili śmierci?“ „A więc w chwili stanowczej chcesz być ochrzczonym“? pyta p. Lo. „Tak“ odpowiada. Ale stan chorego pogarszał się w każdej chwili. Tutaj znowu Najśw. Panna przychodzi p. Lo z pomocą, aby mógł swój pobożny zamiar do skutku doprowadzić. Znowu „bonzka“ opuściła chorego, pani Sen z dziećmi się usunęła, został tylko p. Wang, przyjaciel p. Lo, lecz poganin. Mówi więc p. Lo do niego: „Chory ma silną gorączkę, obmyję mu czoło świeżą wodą“. Mówiąc to, starał się dać poznać choremu, co czyni, ale ten zdawał się zupełnie nieprzytomny. Po chwili, kiedy wrócił do przytomności, powiada mu p. Lo. że jest chrześcijaninem. „To dobrze“, powiedział chory. Tymczasem w otoczeniu stracono zupełnie nadzieję wyzdrowienia p. Sen. Dnia 22. maja wyjechał p. Lo do Zocé z troską, co się dziać będzie z jego przyjacielem, lecz z ufnością polecił go opiece Maryi. Zaraz po powrocie dnia 24. t. m. pierwsze jego kroki były do domu p. Sen. Znalazł go trochę zdrowszym, ale bardzo osłabionym tak, że nawet słowa przemówić nie mógł. Pożegnał go więc, ale skoro tylko zaszedł do siebie, nadbiegł posłaniec, że p. Sen chce się z nim widzieć. I oto, co mu powiada. „Po odejściu twojem zdawało mi się, że usnąłem i w tej chwili widziałem Najśw. Pannę przy mnie“. „W jakiej postaci“? pyta p. Lo. W tej samej jak jest przedstawiona na Cudownym medaliku, słodko uśmiechnięta z ramionami otwartemi, jakby chciała mnie przygarnąć do siebie i natchnąć wielką ufnością. Obdarzony tylu łaskami, uczynię wszystko, aby się ich stać godnym“.

Otrzymany chrzest nie mógł się długo utrzymać w tajemnicy. Niedyskretnym, którzy go pytają o przyczynę tej zmiany, powiada, że to jest kwestya, która jego osobiście dotyczy, i nie jest obowiązany z niej zdawać sprawy. Jednego tylko pragnie, aby cała jego rodzina mogła podzielać jego szczęście. Najśw. Panna i tego dokona, bo już teraz pani Sen chętniej widuje p. Lo w swoim domu. Sprawozdanie to opisane przez pana Lo, posłano do francuskich Roczników Dzieci Maryi.

Drugi znowu fakt niedawno spełniony, dowodzi, jak Najśw. Panna uprzedza swą dobrocią nawet i pogan. Opowiedział nam to ks. biskup Ciceri, wikaryusz apostolski w Kiangsi. W dniu 19 lipca b. r. miał u nas Czcigodny ks. Biskup mszę św. Po niej, zebrałyśmy się w izbie Zgromadzenia, aby słuchać opowiadania o różnych pięknych i budujących zdarzeniach na misyach. Oto w jego wikaryacie, w miejscowości, w której niema wcale chrześcijan, poczciwa wdowa poganka, chcąc sobie zapewnić zbawienie, postanowiła cały swój majątek oddać do pagody, a samą stać się bonzeską. Jednej nocy widzi we śnie dwie osoby: kobietę i mężczyznę, o rysach twarzy nie chińskich, w innem od nich ubraniu, które jej powiedziały, że, aby zbawić swą duszę, nie powinna iść do pagody, ale do dziewic chrześcijańskich w tej a w tej miejscowości, (są to zakonnice św. Anny, chinki, które oddają wielkie usługi misyi), a te jej powiedzą, co powinna uczynić. „Kto wy jesteście"? pyta we śnie nasza wdowa „Moje imię Marya", powiada kobieta, „a moje Józef", powiada mężczyzna. Tego samego dnia udała się kobiecina do miejscowości jej we śnie naznaczonej i opowiedziała zakonnicom całe to zdarzenie, a gdy jej pokazały obrazy Najśw. Panny i św. Józefa, rzekła: „To ci sami, których we śnie widziałam". Dziś jest katechumenką. Wielką w tem zdarzeniu pokładamy nadzieję, kobieta ta bowiem może oddać znaczne usługi misyi i zapewne cała ta okolica przez nią się nawróci. Ks biskup Ciceri mówił nam, że sam ją wypytywał i że ta osoba nigdy w swem życiu ani o na-

szej św. religii, ani o Najśw. Pannie, ani o św. Józefie nie słyszała.

Sądzę, że sprawię przyjemność Czcig. Ks. Redaktorowi „Roczników“, przytaczając tu jeszcze pewną, bardzo zabawną historyjkę, która da poznać, jak to poganie pojmują miłosierdzie chrześcijańskie i jak sobie tłomaczą kolej żelazną. Jakto? zapyta kto, kolej żelazną i miłosierdzie chrześcijańskie wyjaśnia ten sam fakt? Trochę to dziwne, ale tak est. Chodzi tu o dwie staruszki. Jedna, którą misya w Czefu przygarnęła, żyła już kilka lat z jałmużny, którą jej udzielali poganie i chrześcijanie tej wioski. Druga była dawniej na służbie u pewnego mandaryna i zachowała z tych czasów dużo z etykiety, pięknych zdań i grzeczności, a przedewszystkiem gust do dobrych kąsków. Nie zawsze panował pokój pomiędzy staruszkami, nieraz chętnieby wyrywały sobie włosy z głowy, gdyby wiek im był kilka takowych pozostawił. Obie bowiem razem miały 175 lat. Pierwsza była ślepa, a druga głucha. Często głucha zostawiwszy ślepą w izbie, z pomocą kija wlekła się do kuchni, aby tu wyprosić od kucharza jaki smaczny kąsek. Otrzymawszy go, powracała do izby, powiadając ślepej o swej dobrej fortunie. Stąd powstawały pomiędzy niemi kłótnie, zazdrości, wyzwiska i t. d., tak długo, dopóki ślepa po omacku nie trafiła do kuchni, aby także cośkolwiek wyprosić. Zresztą staruszki pozatem kochały się bardzo. Kiedy jedna była chora, druga jej nie odstępowała, a kiedy ślepa ochrzczona, bierzmowana przeniosła się na lepszy świat, głucha wkrótce za nią poszła i obie w zgodzie spoczywają na cmentarzu misyjnym, obok grupy dzieci opuszczonych, zebranych we Weihisien, których duszyczki obmyte wodą chrztu św. uleciały do nieba. Misyonarz przytulając te dwie nieszczęśliwe istoty ma się rozumieć miał ten cel, aby je pouczyć prawd wiary, ochrzcić i wysłać do nieba. Ale poganie nie mogą pojąć tego celu, to też byli zaintrygowani, jaką to korzyść przyniosą misyi dwie staruszki, które nie są zdolne do żadnej pracy, które trzeba żywić i mieć o nie staranie. Otóż zasta-

nawiając się i szukając w swych muzgownicach, znaleźli nareszcie. Pewnego dnia chrześcijanie otoczyli Misyonarza i zaczęli rozmowę o zmarłej ślepej, co też to poganie o niej mówią. A co? pyta misyonarz. „O, nie powiemy. bo się Ojciec rozgniewa". Po długiem wahaniu nareszcie opowiadają. Poganie długo szukali, jaką korzyść przyniosą misyi dwie żebraczki. Po długiem myśleniu odgadli. Europejczycy urządzają, według nich, długą linię drogi, na tej drodze przesuwają się wozy ze szybkością nie do opisania i to bez koni, siłą niewidzialną. I jak to być może? Oto mają sposób szczególny. Kiedy bowiem staruszki będą umierać, misyonarz weźmie ich dusze i zamknie w lokomotywie, która wzmocniona tymi duchami, pociągnie za sobą cały szereg wozów z szybkością nie do opisania. Oto korzyść, według pogan, jaką ma misyonarz, przytulając żebraczki i w tem samem objaśnienie kolei żelaznej.

List mój już i tak długi, nie mogę go jednak wysłać, nie napisawszy coś, co nas bliżej dotyczy Najpierw, że rodák nasz p. W. Strzelczyk otrzymał święcenia dyakonatu w dniu 16 lipca w Kiaszing. Już pewnie na święcenia kapłańskie nie długo będzie czekał. Oby Najśw. Serce Pana Jezusa uczyniło zeń świętego kapłana misyonarza. Modlić się nam trzeba o to. Sama poczytuję sobie za obowiązek przygotowania mu czegoś pięknego na uroczysty dzień jego święceń; nie ma bowiem nikogo, ktoby o nim myślał. Liczę na św. Opatrzność.

W dniu 11 czerwca odbyła się w Kiu-Kiang konsekracya ks. biskupa Ludwika Fatiguet, następcy ś. p. ks. biskupa Ferrant. Piękną ozdobą tej uroczystości było mnóstwo ubogich z Kiang-Pe, których ten gorliwy misyonarz żywił i w nędzy ratował przez dwa lata strasznego głodu, który niezmiernie dawał się uczuć w prowincyi Kiangsi. Poczciwi ci biedacy na 40 łodziach towarzyszyli mu do Kiukiang, z muzyką, petardami i chorągwiami. Sami go wprowadzili do katedry. Opowiadano nam, jak to wzruszającem było widzieć tych wdzięcznych biedaków, okazujących tyle serca swemu

ukochanemu pasterzowi. Różne były objawy tej ich wdzięczności. Między innymi napisali też prośbę do Ojca św. z setkami podpisów, nawet pogan, aby rezydencya nowego biskupa nie była w Kiukiang, ale w ich wioskach w Kiang-Pe. Co też Ojciec św. pomyślał, otrzymawszy tę prośbę. Ucieszył się zapewne poczciwością tego dobrego ludu.

W tej części Chin ruch ku nawróceniom jest od kilku lat nadzwyczaj silny. Jedno westchnienie daje się słyszeć: „Żniwo jest wielkie, a robotników mało". A i z tej małej garstki, Pan żniwa powołuje znaczną liczbę po zapłatę, szczególnie w zakonie OO. Jezuitów jest śmiertelność nadzwyczaj wielka. Wikaryat Kiangnan, do którego Szangaj należy, liczy 40 milionów dusz, a obsługiwany jest zaledwie przez 150 OO. Jezuitów. Misye Zgromadzenia Księży Misyonarzy są korzystniej podzielone. Na takim samym prawie obszarze jest 7 wikaryatów. Życie wspólne i obowiązki członków Zgromadzenia łatwiej w ten sposób zachować.

Z PROWINCYI POLSKICH.

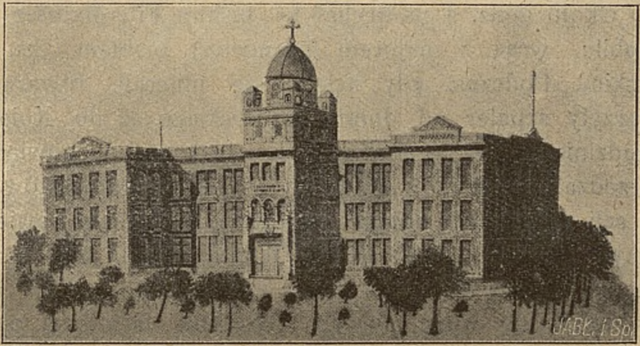
Ameryka północna. Erie. O uroczystości poświęcenia kamienia węgielnego pod kolegium św. Jana Kantego pisze ks. Janowski do P. Ks. Wizytatora, pod datą 22 czerwca br.

„P. Ks. Wizytator wyczekuje zapewne wiadomości z poświęcenia kamienia węgielnego pod kolegium św. Jana Kantego. Chciałem zaraz napisać po odbyciu uroczystości, ale musiałem wyjechać do Rochester N. Y. z pomocą w spowiedzi i do asysty ks. Arcybiskupowi Weberowi w czasie bierzmowania.

Wspomniałem w poprzednim liście o przygotowaniach do tej uroczystości poświęcenia. Wysłaliśmy zaproszenia do wszystkich księży polskich i do wszystkich biskupów. Z tych wszystkich mało kto odpowiedział, jeszcze mniej przysłało ofiary pieniężne, a na poświęcenie, prócz naszych z dyecezyi Erie, było trzech. Można się temu dziwić i nie; z jednej strony w dniu tym (30 maja przypada uroczystość ogólno-amerykańska) wszędzie urządzają rozmaite poświęcenia, majówki, obchody Konstytucyi 3 maja i t. p. Zatem wielu nie

mogło naprawdę. Następnie trzeba to przypisać polskiemu niedbalstwu, lenistwu, a wreszcie zazdrości, tej cnocie ogólnopolskiej.

Pomimo tej nieobecności naszego duchowieństwa, uroczystość sama wypadła bardzo ładnie. Duchowieństwa miasta Erie, a nawet z dalszej okolicy, stawiło się dość dużo. Swoją drogą oni to czują, że to zakład polski, pomimo chorągiewek i napisów amerykańskich. Sama uroczystość zaczęła się zaraz po południu. Wszystkie towarzystwa zebrały się w swych mundurach i odznakach w hali parafialnej.



Kolegium św. Jana Kantego w Erie.

Stąd z dwiema kapelami na czele obeszły w paradzie kilka główniejszych ulic miasta i ruszyły na dworzec kolei pensylwańskiej. Trzy pełne pociągi o 9 wagonach ledwie pomieściły wszystkich gości. Wielu pojechało tramwajem do Wesleyville, a potem pieszo. Niektórzy obywatele dla większej okazałości wzięli sobie powozy.

Księży i gości świeckich zawieźliśmy w automobilach. Młodzież utworzyła rozmaite komitety, które wyznaczone miały swoje czynności. Komitet dekoracyjny naprzykład zajął się ustrojeniem trybuny dla gości, poustawiał i umaił stoły zielenią, przy których podawały dziewczęta rozmaite słodycze, lody, cygara i karty z widokiem kolegium. Ładnie ustrojono front małej farmy, gdzie ks. biskup i księża ubierali się i skąd rozpoczęła się procesya do kolegium. Koło

godziny 4 nadszedł oddział studentów z kolegium OO. Redemptorystów z North East. Miłe bardzo zrobili wrażenie. Podzieleni byli na kilka odziałów, każdy w odmiennych uniformach, z szarfami, z chorągiewkami amerykańskiemi i papieskiemi. Na czele szła ich własna kapela w osobnych strojach. Dostali nadto honorowe miejsce, bo postępowali przed duchowieństwem i stali najbliżej trybuny. Podczas ceremonii odśpiewali dwie pieśni po angielsku i po łacinie. Zacny rektor tego kolegium przyobiecał już naprzód przyczynić się do uświetnienia tej uroczystości. Angielską mowę wypowiedział również on. Znany jest on jako dobry mowca.

Około godz. 4 nadjechał ks. biskup Fitz-Maurice w automobilu, wraz z majorem (burmistrz) Lieblem i ks. Głogowskim. Podczas, gdy księża się ubierali, towarzystwa utworzyły szpaler od domu farmerskiego aż do Kolegium. O godzinie 4 ruszyła procesya. Ks. biskupa i duchowieństwo poprzedzali studenci z kolegium OO. Redemptorystów, potem szli ministranci długim szeregiem, z krzyżem i świecami Ładny naprawdę był to widok. Wśród zieleni pól, z widokiem na jezioro Erie, szła liczna rzesza ludu, wśród której znajdowało się wielu obcych. Okoliczni farmerzy zjechali oglądać tę pierwszą uroczystość w tych stronach. Wielkie wrażenie wywarła ona na wszystkich, jak mi potem oświadczali.

Najprzew. ks. biskup najpierw poświęcił wodę, potem kamień węgielny, a następnie obszedł całą budowlę i pokropił fundamenta wodą święconą. Podziwiałem wytrwałość jego. Jest już podeszły wiekiem i łatwo się męczy.

Potem ks. biskup zajął miejsce wraz z innymi księżmi na trybunie, a ks. rektor Auth rozpoczął mowę w języku angielskim. Położył główny nacisk na tę prawdę, że Kościół św. dbał zawsze i dba o wyższe wykształcenie, a dowodem tego są liczne szkoły, kolegia i uniwersytety katolickie, jak w całym świecie, tak i po ziemi amerykańskiej rozsiane. Według metody innowierców wyliczył, ile mamy obecnie szkół w St. Zjednoczonych. Nowo budujące się kolegium ma być nowym dowodem tej troskliwości.

Mowca nie zapomniał również o przedstawicielach miasta. Wspomniał, że miastu przybywa zakład, który je podniesie w oczach innych miast i urzeczywistni myśl „from the greater Erie". Erie bowiem, mające jeden z najlepszych portów nad wielkiemi jeziorami, mało się dotąd rozwijało. W ostatnich dopiero latach nowa generacya podjęła myśl podniesienia miasta do rzędu innych, jak Buffalo, Cleveland, Tolido i Detroit. Powiedział również kompliment ks. biskupowi, że serce jego przepełnione jest radością z powodu tej nowej placówki katolicyzmu. W mowie tej nie było wspomniane, że to zakład polski, aby nie drażnić innych narodowości. — Ks. Głogowski również, który wygłosił mowę ex abrupto, w miejsce ks. Wierzyńskiego, który nie mógł przyjechać, zaznaczył, że Zgromadzenie Księży Misyonarzy poprowadzi młodzież w tem Kolegium w duchu katolicko-polskim. Mowy obydwie przeplatane były śpiewem pieśni amerykańskich i polskich oraz muzyką.

Na zakończenie p. Schultz (obywatel należący do komitetu) urządził licytacyę kielni, która użyta była przy wmurowaniu kamienia węgielnego. Warto było widzieć jego spryt przy zachwalaniu, jak cenna jest ta kielnia. Sam dał 5 dolarów. A teraz kto da więcej? zapytał. Zaczęto podnosić cenę, zwykle po 5 dolarów. Doszła do 50 dolarów i za tę cenę otrzymał ją poczciwy niemiec, p. Schlaudecker. Kazaliśmy wyryć na kielni datę pamiątkową i wręczyliśmy mu ją.

Przed poświęceniem uganiały dziewczęta i przypinały gościom odznaki. Kto dał 10 centów ameryk. i wyżej aż do 1 dol., dostał szpilkę, a kto dał 1 dol. i wyżej, dostał szpilkę i karteczkę z napisem: „promotor of higher education", którą przypinano mu na piersiach. Inni znowu goście raczyli się cukierkami, wodą sodową, lodami, a mężczyźni także cygarami. Około godz. 6 nadjechał pierwszy pociąg po gości.

Taki był w krótkości przebieg uroczystości poświęcenia Kolegium.

New Haven. O budowie nowego kościoła, o której już wspomniano w przeszłym zeszycie, pisze ks. Superyor Mazurkiewicz do ks. Wizytatora pod dniem 12 sierpnia b. r.

„Wszystko na dobrej drodze, choć powoli naprzód postępuje. Plany nowego kościoła już gotowe. Kościół, jak rysunek wskazuje, będzie ładny, w stylu „romanesque“, z jedną wieżą pokaźną i pięknym frontem z wielkiem oknem okrągłem. Kościół będzie zbudowany z cegły, gzymsy etc., z białego kamienia à la Kaczyka. W kościele będzie ławek dla pomieszczenia około 1.200 osób. Kościół będzie długi blizko 150 stóp, a szeroki z frontu blizko 73 stóp. Pod kościołem „w basemencie“ będzie na razie 6-cio klasowa szkoła z czterema wejściami i szerokimi kurytarzami.

„Jak tylko sprzedam stary kościół, urządzę w nowym kościele na dole halę na zebrania i inne uroczystości parafialne. Może kupi od nas stary kościół miasto New Haven, aby zrobić nową ulicę. Słyszałem o tem wiele, nawet radzono mi uczynić miastu propozycyę sprzedaży, ale cicho siedzę: bo najpierw trzeba nowy kościół wybudować, aby było gdzie nabożeństwa odprawiać; powtóre zaś, gdybym sam się zgłosił, miastoby mi tyle nie dało, ile chcę, a chcę dostać przynajmniej 35.000 dolarów. Ponieważ potrzeba nam miejsca pod nowy kościół, musimy przesunąć dom Sióstr o jakie 120 stóp w tył.

„I z tem miałem i mam kłopot, bo musiałem aż do ojców miasta się udać, aby wbrew prawom budowlanym pozwolili dom przesunąć, co też uczynili. Nadto musiałem zapłacić 3.500 dolarów długu ciążącego jeszcze na domu, aby mieć zupełne prawo własności. Kilkaset dolarów pochłonie samo przesuwanie, kopanie piwnicy i zaprowadzenie kanałów. Dziś już zwalają stare stajnie i za jaki tydzień ze Siostrami dom przesuwać będę. Siostry trochę smutne, ale pocieszam je słowami św. Pawła: „Nie mamy miasta stałego, ale przyszłego szukamy“. Na zaczęcie nowego kościoła zostanie mi gotówki 2.000 dol., czyli bardzo mało.

Muszę znowu szturmować do ofiarności parafian, zachęcać do płacenia podatków i t. d. Pieniędzy mało, za to wiele ufności w Bogu i w pośrednictwie św. Józefa i św. Antoniego. Czasem piórka mi opadają, ale pocieszam się przykładem św. Wincentego, który „nie kazał się spieszyć, ale powoli z rozwagą działać“. Jeżeli wszystko się uda, to jeszcze w tym roku wybuduję przynajmniej fundamenta.

„Towarzystwa nasze budują na własną rękę halę parafialną za 15.000 dolarów, co mi nie na rękę, bo nie mogę teraz liczyć na ich pomoc pieniężną.

„Poślę wkrótce Przewielebnemu ks. Wizytatorowi fotografię I. roku szkolnego pod dyrekcyą Sióstr Nazaretanek“. Wedle najświeższych wiadomości zaczną Konfratrzy w listopadzie kłaść fundamenta pod nowy kościół; z wiosną wczesną podejmą budowę, a w listopadzie roku 1912 spodziewają się już mieć uroczystość poświęcenia nowego kościoła.

Polecają to przedsięwzięcie modlitwom czytelników „Roczników“. — Dom Sióstr już przesunięty, do szkoły zapisało się już 160 dzieci.

Poznań. Złoty jubileusz powołania Siostry Barbary Zaremby. *Dziennik Poznański* zamieszcza w numerze z dnia 24 września następujący artykuł pod napisem „Siostra Barbara“.

„Kto z mieszkańców miasta Poznania ubiegłego półwieku nie znał Siostry Barbary? — Dziecko, czy to starzec, Polak, Niemiec lub żyd, wszyscy ją znają. Postać wysoka, silnie zbudowana o surowych, ale dobrotliwych rysach. Oczy żywe chowają się pod szerokim, jak skrzydła kokoszki opadającym kornetem.

„Zda się, że pod temi skrzydły grzeją się tysiączne myśli, zawsze skierowane ku tym, których ma w sercu — ku słabym, ku ubogim. Palce jej, czy to w domu, czy na ulicy, czy po żebraninie w domach prywatnych, lub na targowisku, przesuwają paciorki. Modli się, aby jej ofiara wydała dobre owoce nietylko dla ciała, lecz mianowicie dla duszy.

Oto Siostra Miłosierdzia, Córa św. Wincentego a Paulo.

„Wielebna Siostra Barbara Zaremba pięćdziesiąt lat jest już czynną na niwie dobroczynności.

„Pochodzi ona z Prus Królewskich, gdzie przyszła na świat w Kainach roku 1840. Oddawszy się Bogu na życie pracy i ofiary, przebyła nowicyat w Paryżu. W samym Poznaniu i to w Domu Miłosierdzia pod wezwaniem św. Józefa przebywa od roku 1862, a pracą nad ubogimi w szczególności zajmuje się od lat 44.

„Początki istnienia Domu św. Józefa były bardzo trudne. Prawdziwa bieda materyalna bratała się z różnorodnemi przykrościami. Ten mały pierwotny domek parterowy o czterech okienkach tak bardzo ukochała nasza jubilatka. Słusznem będzie, jeżeli się uzna Siostrę Barbarę za współzałożycielkę ze zmarłą ś. p. Siostrą Ireną Łuszczewską tego domku, dzisiaj rozwiniętego do pokaźnych rozmiarów. Ile to cegiełek wbudowała ona w ten gmach przez swą modlitwę i pracę!

„Podczas wojny austryackiej posłano Siostrę Barbarę na pole bitwy do pielęgnowania chorych. To samo stało się podczas wojny niemiecko-francuskiej. Krzyżów w zasługę jej ofiarowanych nie przyjęła, gdyż zapłaty oczekuje od Jezusa — zapłatą w części była jej sama praca i poświęcenie nad żołnierzami, czy to rannymi, czy chorymi, lub głodnymi. Tutaj używała poświęcenia, ile zapragnęła. W wojsku zabrakło kucharza. Kto będzie gotował? — Ano Siostra Barbara.

„Kotły rozstawia się na kuchni polowej, na cegłach ustawianych na ziemi. Gotują się krupy, groch, całe ćwierci słoniny dodawają smaku i pożywienia. Pół pułku nakarmiono. Po dwudniowej bezprzestannej pracy będzie mogła Siostra spocząć... Ale gdzież tam... nowe oddziały nadchodzą, więc Siostro gotuj. Ale co? — Grochu jest kilka miechów i nieco słoniny; a żołnierze zmarnowani. Dzieje się w Pont à Mousson. Mieszka tam francuska kobiecinka, wdowa z dwojgiem dzieci. Krowina całem ich bogac-

twem i żywicielką. Ale cóż... à la guerre c'est comme à la guerre... Krowę muszą żołnierze zjeść, aby mieć siłę do dalszej walki. Kobiecina do Szarytki z prośbą. Przecież Szarytka — ce n'est pas une prussienne — bo ona matką biednych. I serce Siostry Barbary nabiera hartu, bo musi walkę stoczyć z kapitanem. Zostawić krówkę kobiecinie, za to Siostra lepiej doprawi czem innem groch. Siostra Miłosierdzia zwycięża i oddaje kobiecinie krówkę.

„We wsi lotaryngskiej w Rémilly, stary i bogaty pałac służy żołnierzom wracającym z bitew na spoczynek i schronienie. Zakazu, że nie wolno niczego niszczyć, wojsko nie słucha. Siostra Barbara, jak zwykle energiczna, śmiało występuje przeciw wybrykom. Niestety jej groźby i prośby nie znajdują posłuchu. Zatem zażalenie do kapitana. Niesforni żołnierze musieli za karę wracać do frontu, w wir przyszłych potyczek i bitew.

„Podczas tych prac i utarczek przetrwała nasza Jubilatka przez 26 dni bez snu, a wraz z towarzyszkami swemi przez 5 dni nic nie miała w ustach, bo furaż przez zły manewr odjechał za daleko i został odcięty.

„Powróciwszy z pola bitwy już zupełnie oddaje się ubogim, którzy się stają jej bogactwem. Czego na tej niwie nasza Siostra nie dokonywa? Tutaj po prostu używa poświęcenia. Praca cicha i spokojna, bez rozgłosu — to jej hasło. Ilu gimnazyalistów ukończyło za jej pomocą szkoły, ilu kleryków seminaryum duchowne, ilu akademików uniwersytet! A kim ona się zajęła, tego nie opuszczała, choćby przyszło nie wiem jakie pokonać trudności.

„Najwięcej jednak pokochała nasza Jubilatka tę ostatnią biedę i nędzę moralną. Z jaką promienną radością rozdaje ona w sobotę chleby, krupy, mąkę i t. d. ubogim; z jakiem przejęciem wysłuchuje na schódkach w ogrodzie codziennych skag i zażaleń licznych biedaków; z jaką świętą niecierpliwością czeka tej godziny dziesiątej, o której wychodzi do swych dziatek, aby dopiero około drugiej powrócić do domu, na skromny posiłek. Z jakiem zaparciem

się chodzi w targowe dni od jatki do jatki z prośbą o drobnostkę dla ubogich, dla siebie nieraz przykre słowo przyjmując? I tak codzień. Ona myśli, mówi, żyje dla ubogich, a wszystko z wysokiej pobudki miłości Boga. Nic z tego nie weźmie, jak dość częstą niewdzięczność i obmowę. To jednak służy jej na dowód, że praca miłą Bogu, gdyż przypada jej w udziale, czego Panu Jezusowi, dla którego pracuje, nie oszczędzono. Ta miłość bogata jest nieraz w wynalazki, nie cofa się przed trudnościami.

„Siostra Barbara prowadzi słabego do szpitala. Wtem zbliża się powóz pana X. „Mój panie, ten biedak nie może posuwać nogami, proszę go kazać odwieźć do szpitala“. — Tak się też dzieje.

„Gdzieś przy ulicy Wronieckiej gospodarz żyd eksmituje lokatora, który od kwartału nie płaci komornego. Komisarz patrzy, jak chudobę wynoszą na ulicę i tamże ustawiają. Wszystko dzieje się wedle prawa, Ależ, gdzież zamieszkują biedacy? — mniejsza z tem. Jest wyrok sądu i basta. Tymczasem nadchodzi Siostra Barbara od jakichś ubogich, którym zaniosła co dopiero jakieś wyżebrane ubranie. „Co to się dzieje? — pyta Siostra — przecież nie można na to pozwolić“. Lecz komisarz uspakaja Siostrę, że gospodarz twardy, a zresztą, że się prawu zadość uczyniło. Siostra pokazuje na serce: prawo tutaj, — i idzie do gospodarza. Za chwilkę wychodzi z książeczką kontraktową, w której gospodarz pokwitował za zaległy kwartał i jeszcze za kwartał naprzód, jakoby komorne zapłacone zostało. Komisarz nie może się nadziwić.

„Trudno policzyć, ile dzikich małżeństw doprowadziła ona do ołtarza. Wyciągała z nędzy cielesnej, potem zaś z moralnej. Trzeba było pewnej dyspensy w podobnym przypadku, więc udaje się do naczelnego prezesa. Ten, nie chcąc jej udzielić, odsyła do wydziału w Berlinie, na co Siostra: „A na co pan tutaj jest?“ — Za chwilę trzyma dyspensę w ręku.

„To znowu w sądzie opiekuńczym żądają za wystawienie pewnego świadectwa pięć złotych. Siostra prosi, aby za darmo sędzia dał. Sędzia nie chce ustąpić, chociaż słyszy, że to ludzie zupełnie nędzni. „A to niech Siostra idzie dla nich żebrać“. Na to ogląda się po sali i spostrzega właśnie pięciu panów-sędziów, referendaryuszy i t. d. — więc zwracając się najprzód do głównego sędziego mówi: „To tutaj zacznę żebrać, bo pięciu panów jest, a pięć mi trzeba złotówek“. Oczywiście, że otrzymała świadectwo za darmo.

„Na takich pracach, przy licznych podobnych zajściach przeszło Wielebnej Siostrze Barbarze pięćdziesiąt lat.

„I dzisiaj jeszcze, licząc 71 lat z górą, Siostra pracuje jak w młodości. Ma ideał wysoki, który ukochała, dla którego żyje — ale który ją zarazem utrzymuje. W tem tkwi tajemnica długiej młodzieńczej żywotności.

„Skoro ktoś, a szczególnie kobieta, traci cel życia, traci ideał, skoro zasklepia się w sobie, a nie umie ponieść żadnej ofiary — nie umie zatem żyć życiem innych — wtenczas starzeje się, a nieraz nawet za młodu.

„W czcigodnej naszej Jubilatce odnosi tryumf prawdziwa miłość bliźniego, prawdziwe chrześcijańskie miłosierdzie, które daje siebie, a daje z miłości dla Boga. Nigdy też filantropia nowoczesna opierająca się najczęściej na zimnem obliczeniu, aby się pozbyć niemiłego widoku nędzy, potem na pewnem uczuciu naturalnem, które od czasu do czasu budzi się w nas, lecz wnet gaśnie, albowiem nie znajduje wiecznie płonącego ognia miłości Bożej, z której się czerpie prawdziwa miłość bliźniego — nie zdolna jest do takiej ofiary i takiego wyrzeczenia się, jak miłosierdzie chrześcijańskie. Stąd też nigdy filantropia nie dokona bez znacznych rządowych subwencyi tego, co drobnymi i cichymi środkami czyni miłosierdzie chrześcijańskie, albowiem ono posiada osobne namaszczenie Boże.

„Społeczeństwo nasze składa więc na tem miejscu hołd wzniosłemu chrześcijańskiemu miłosierdziu w osobie czcigodnej Jubilatki — składa podziękę, że Wielebna Siostra

Barbara stała się przez swą ofiarę i poświęcenie tak giętkiem narzędziem Opatrzności Bożej".

Kaczyka. Oddawna już myśleli Konfratrzy w Kaczyce o budowie tak potrzebnego tam schroniska dla spieszących zewsząd do cudownej Matki Boskiej tysiącznych rzesz pielgrzymich. Zamiar ten doszedł do skutku w roku bieżącym. Stanął obszerny budynek drewniany, z szeregiem ubikacyj dla pomieszczenia gości, oraz z osobną wielką salą dla zebrań towarzystw lub przedstawień amatorskich. Akt poświęcenia odbył się z wielką uroczystością w niedzielę, dnia 10 września. Wzięło w nim udział wiele duchowieństwa z okolicy, liczna pielgrzymka Sodalicyi maryańskiej z Czerniowiec oraz wiele ludzi i znaczniejszych gości miejscowych i okolicznych. — Następnego zaś dnia zaczęli w tymże gmachu księża bukowińscy z dekanatu suczawskiego i radowieckiego swe roczne rekolekcye, pod przewodnictwem ks. Superyora Lewandowskiego.

Do **Ameryki południowej** wyjechali okrętem z Tryestu dnia 20 lipca b. r. księża Góral i Zygmunt wraz z 5 Siostrami z prowincyi chełmińskiej. Przybyli oni szczęśliwie dnia 10 sierpnia do Santos, a 12 znaleźli się Księża u swoich Konfratrów w Paranie; trzy zaś Siostry objęły nowy dom i szkołę w Thomaz-Coelho, 1 Siostra wspomogła dom Sióstr w Prudentopolis, 1 w S. Matheus. Po kilku dniach wypoczynku wybrali się nowi Misyonarze w daleką podróż do stanu S. Catharina, aby rozpocząć pracę nad Polakami tam osiadłymi, a pozbawionymi dotychczas opieki polskiego kapłana.

Zmarli Misyonarze:

Ks. Jakób Mc Gill, 18 maja w Germautown pod Filadelfią; żył lat 83, w Zgromadzeniu 60.

Kler. Napoleoni, 15 maja w Chieti (prow. rzymska); żył lat 22, w Zgromadzeniu 6.

Ks. Jan Uang, 23 czerwca w Pekinie; żył lat 47, w Zgromadzeniu 12.

Ks. Jakób Carpenter, 25 czerwca w Blackrock (prow. irlandzka); żył lat 87, w Zgromadzeniu 40.

Ks. Stefan Serpette, 7 lipca w Berceau (pod Dax); żył lat 62, w Zgromadzeniu 43.

Br. Michał Cruice, 13 lipca w Lanark (prow. irl.); żył lat 86, w Zgromadzeniiu 61.

Br. Anzelm Nunez, 11 lipca w Madrycie; żył lat 28, w Zgromadzeniu 3.

Ks. Jan Lagarde, 17 lipca w Paryżu; żył lat 74, w Zgromadzeniu 44.

Br. Franciszek Izquierdo, 7 lipca w Merida (Meksyk); żył lat 66, w Zgromadzeniu 42.

Br. Heladyusz Gonzalès, 28 lipca w Madrycie; żył lat 70, w Zgromadzeniu 46.

Ks. Albert de Lesquen, 3 sierpnia w Paryżu; żył lat 73, w Zgromadzeniu 51.

Br. Rufin Cahill, 14 sierpnia w Castleknock (pr. irlandzka); żył lat 81, w Zgromadzeniu 48.

Ks. Maurycy Rolland, 17 sierpnia w Dax; żył lat 78, w Zgromadzeniu 54.

Kler. Wincenty Martinez, 19 sierpnia w Madrycie; żył lat 24, w Zgromadzeniu 9.

Ks. Karol Devin, 10 września w Paryżu; żył lat 67, w Zgromadzeniu 49.

Br. Jan Moerscher, 24 września w Nowym Orleanie (St. Zj.); żył lat 86, w Zgromadzeniu 52.

Siostry Miłosierdzia

zmarłe w prowincyi krakowskiej w r. 1911.:

S. Tekla Wężyk, 23 stycznia w Tenczynku, żyła lat 87, w Zgromadzeniu 57.

S. Zofia Konowalska, 13 marca w Domu Centralnym, żyła lat 78, w Zgromadzeniu 55.

S. Marya Nowak, 30 kwietnia w Domu Centralnym; żyła lat 34, w Zgromadzeniu 6.

S. Anna Błażek 5 lipca w domu Centralnym; żyła lat 31, w Zgrodzeniu 6.

S. Władysława Kwiecińska, 10 sierpnia w domu Centralnym, żyła lat 71, w Zgromadzeniu 44.

S. Joanna Świętorzecka, 16 sierpnia w Domu Centralnym; żyła lat 77, w Zgromadzeniu 53.

S. Karolina Makarów, 25 sierpnia w Domu Centralnym; żyła lat 70, w Zgromadzeniu 42.

S. Pelagia Kłos, 2 września w Domu Centralnym; żyła lat 32, w Zgromadzeniu 5.

R. I. P.

SPIS RZECZY.

ARTYKUŁY I SPRAWOZDANIA.

KRONIKA.

NEKROLOGIA.

ZMARLI.

RYCINY.

Kraków — Drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.